

Maciej Janowski

Instytut Historii PAN, Warszawa
e-mail: mjanowski@ihpan.edu.pl

**KRAJ PRZEMYSŁNY I KRAJ ZAODŁOŻONY
NOŚNOŚĆ POLSKIEGO JEZYKA
SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO CZASÓW PÓŹNEGO
OŚWIECENIA: WSTĘP DO POMIARU**

THE INDUSTRIOUS COUNTRY AND THE NEGLECTED COUNTRY
THE CAPACITY OF THE POLISH SOCIO-ECONOMIC LANGUAGE
OF THE LATE ENLIGHTENMENT: AN INTRODUCTION TO MEASUREMENT

Abstract

I am trying to determine to what extent the level of development of the Polish language during the Enlightenment allowed for the expression of certain complex socio-economic concepts. More precisely, the question is whether the degree of language development limits the possibility of expression on certain topics. Attempting to answer this question, I conducted an experiment of sorts. I wrote a short text in the Polish language of the late Enlightenment, trying to express some of those economic views that were not present in the Polish Enlightenment discourse. If expressing these concepts turned out to be possible, it would mean that their absence is due not to linguistic but to other reasons.

Of course, the experiment did not produce conclusive results. However, it allowed me to formulate several assumptions. The most important one is that the lack of technical language can be, to a large extent, compensated by the use of paraphrases. Therefore, more can be expressed in Polish than would seem possible. On the other hand, paraphrasing, i.e., describing phenomena instead of calling them by commonly used terms, hinders scientific discussions. It also contributes to the marginalization in the public debate of those problems for which precise terms are still lacking.

Keywords: history of concepts, history of the Polish language, Enlightenment, social thought, economic thought.

I. Postawienie problemu

Krótki anonimowy traktacik ekonomiczny z ok. 1812 r., opublikowany poniżej, nie był do tej pory znany badaczom¹. Dziwne, gdyby było inaczej, skoro sam go ułożyłem na potrzeby tego artykułu². Dlaczego tak postąpiłem? Po pierwsze – dla zabawy. Po drugie – bo chciałem przeprowadzić coś na kształt eksperymentu. Nie wiem, czy w językoznawstwie istnieje pojęcie nośności języka, tak jak nośności mostu. Jeśli nie, warto je wprowadzić. Wydaje się bowiem oczywiste, że język w różnych epokach i różnych sytuacjach historycznych ma różną nośność – może unieść tylko pewną ograniczoną ilość znaczeń. W powieści Teodora Parnickiego *Tylko Beatrycze* przez całą fabułę powtarza się wątek – poboczny, ale nie marginalny – ograniczeń języka. Bohater jest z różnych względów zafascynowany Dantem (akcja powieści toczy się w pierwszych latach XIV w.). Czuje, że jego ojczysty język (XIV-wieczna polszczyzna) nie daje tych możliwości, jakie Dante mu daje jego język ojczysty. Ma talent, jak mówi o bohaterze jedna z postaci powieściowych, „iście wielkiego poety, choć niestety takiego, który nie jest władny utrwalić wierszem w mowie ojczystej jakże wspaniałych wyrazistością a i logicznością zdumiewającą też – tworów wyobraźni swojej! Jaka szkoda, iż tak mało rozwinięta jeszcze jest mowa Polaków!”³. „Materiał masz w sobie na świetnego poetę, nie gorszego aniżeli Aligerus [Dante Alighieri – M.J.] może!” – mówi bohaterowi papież Jan XXII. Nic z tego jednak, „słowa bowiem nie masz rodzime-

¹ Niniejszy tekst został przygoowany w ramach grantu: „Polskie pojęcia społeczno-polityczne XIX i XX wieku”, OPUS, nr 2020/39/B/HS3/02475.

² Wcześniejsza wersja tego tekstu była przedmiotem bardzo ożywionej dyskusji (zdalnej) na forum Zakładu Historii Idei i Dziejów Inteligencji w Instytucie Historii PAN w 2021 r. Głos zabierali m.in. Joanna Nalewajko-Kulikov, Maciej Górny, Marcin Jarząbek, Piotr Kuligowski, Aleksander Łupienko, Wiktor Marzec (jeśli kogoś opuściłem, przepraszam); uwagi na piśmie przekazali mi też Aleksander Łupienko i Mikołaj Getka-Kenig. Miałem też możliwość (za którą bardzo dziękuję Annie Grześkowiak-Krwawicz) przedstawić ten tekst na zdalnym zebraniu Pracowni Literatury Oświecenia w Instytucie Badań Literackich PAN 9 grudnia 2021 r. W dyskusji udział wzięli Marcin Cieński, Magdalena Górską, Teresa Kostkiewiczowa, Anna Grześkowiak-Krwawicz i Radosław Szymański. Odbyłem także dwie dłuższe i ogromnie inspirujące rozmowy na temat tego tekstu. Pierwszą z Jarosławem Czubatym i Maciejem Mycielskim, których ogromna wiedza o epoce napoleońskiej pozwoliła mi zwrócić uwagę na kilka niedostrzeżonych przeze mnie dotąd problemów; drugą – z Hanną Komorowską-Janowską, która wskazała mi różne kwestie z punktu widzenia językoznawcy. Istotne uwagi przesłał mi prof. Andrzej Mencwel. Wszystkim wymienionym tu osobom oraz mojej żonie Beacie Janowskiej, jestem bardzo wdzięczny za liczne uwagi, a także – co bardzo ważne – za dodanie mi otuchy, jeśli chodzi o niekonwencjonalny pomysł leżący u podstaw tego szkicu. Za wszystkie słabości tekstu jestem oczywiście odpowiedzialny tylko ja.

³ T. Parnicki, *Tylko Beatrycze*, oprac. R. Koziółek, I. Gielata, Wrocław 2001, s. 305.

go odpowiedniego dla utrwalenia wytworów wyobraźni swojej”⁴. Papież rozważa możliwe następstwa tej sytuacji, przykre bardziej dla bohatera powieści niż dla mowy polskiej.

Nie ty, to kto inny – nie dziś, to za sto lat, za dwieście, za pięćset – tak czy owak przecież niezawodnie – opiewać będzie w mowie tej jakieś Beatrycze [...]. Mowa ta niewątpliwie [...] odtworzy obrazami słownymi to też, co bardzo a bardzo twoje jest [...]: bezbronność przed mocami i strachu własnego i wyobraźni też własnej; jak nie ty, to inny ktoś poda współplemięncom do wiadomości, iż wyobraźnia oczyma doń mówi, strach zaś biciem serca⁵.

Autor komentarzy, Ireneusz Gielata, informuje nas w przypisie, że fragment ten stanowi aluzję do znanej sceny z *Kordiana* Juliusza Słowackiego, kiedy Strach i Imaginacja powstrzymują tytułowego bohatera przed dokonaniem zamachu na cara. Jeśli tak, to znaczy, że moment pełnego uzyskania przez polszczyznę zdolności wyrażania stanów emocjonalnych sytuuje Parnicki w epoce rozkwitu polskiego romantyzmu.

Myślę, że Parnicki bardzo dobrze oddał podstawowy problem niniejszego tekstu (z zastrzeżeniem, że w moim artykule chodzi o dwie sprawy: nie tylko o możliwość wyrażania stanów emocjonalnych, ale także o obecność aparatury konceptualnej dla wyrażenia zjawisk społecznych. Sądzę jednak, że te dwie kwestie są ze sobą bardzo blisko związane). Czy jest to problem realny, czy też (co można podejrzewać, znając twórczość Parnickiego) czysto literacki? Sądzę, że jednak realny. Właśnie w czasach, z których pochodzi mój fikcyjny traktacik, księżna Maria Wirtemberska pisała we wstępie do swej powieści *Malwina, czyli domyślność serca*: romans ten „przypomni, że nie ma tego rodzaju pisma, do którego język Polski nie byłby zdolnym”. Konstanty Wojciechowski w swej edycji *Malwiny* przytacza w przypisie do powyższego cytatu podobne sformułowanie Ludwika Kropińskiego z jego romansu *Julia i Adolf*:

Romans ten napisałem w roku 1810, do czego wiele miałem powodów, a między innymi i ten, że powszechne prawie naówczas było uprzedzenie płci pięknej, iż nasz język nie jest zdolnym wydać tkliwych uczuć delikatnej miłości, dla których język francuski w *Nowej Heloizie* zdaje się być stworzonym⁶.

Kiedy jednak przeglądamy *Malwinę*, a co dopiero słabsze powieści z czasów napoleońskich (choćby Anny Mostowskiej), trudno wprost

⁴ *Ibidem*, s. 410–411.

⁵ *Ibidem*, s. 417.

⁶ Z Czartoryskich Maria ks. Wirtemberska, *Malwina, czyli domyślność serca*, oprac. K. Wojciechowski (Biblioteka Narodowa, Seria I, nr 23), Kraków 1920; wstęp autorki pt. *Do mojego brata* oraz przyp. 4 wydawcy (korzystam z wersji internetowej tego wydania na stronie Wikiźródła, bez podanych numerów stron wydania papierowego).

uwierzyć, że powstały one niemal dokładnie wtedy, gdy Jane Austen pisała *Dumę i uprzedzenie*. Subtelność, delikatność, ironia angielskiej pisarki nie znajdują odpowiednika ani u księżnej Wirtemberskiej, ani u innych autorów czy autorek polskich tej epoki. Ta subtelność wynika zaś, między innymi, z umiejętności rozróżniania odcieni znaczeniowych używanych przez autorkę słów. Pomijając czynnik przypadkowy i nieobliczalny, jakim jest nieporównywalna skala talentu angielskiej pisarki, decydująca musiała być obecność bardziej wyrobionego i bardziej precyzyjnego narzędzia: języka.

Zadałem sobie pytanie: kiedy po polsku napisano teksty dorównujące dziełom autorki *Dumy i uprzedzenia* precyzją znaczeń, delikatnością ironii i subtelnością przedstawienia stanów psychicznych? Przychodzi mi do głowy jedna tylko odpowiedź: zrobił to Bolesław Prus, o trzy pokolenia młodszy od angielskiej pisarki. Czy może to być miarą zapóźnienia „sprawności” języka?

Problem, o którym mowa, dostrzegają nie tylko księżna Wirtemberska. Pisali o tym Stanisław Kostka Potocki i Jan Śniadecki, podkreślając znaczenie pielęgnowania języka polskiego dla rozwoju umysłowego i politycznego. Oto Potocki:

Nadaje udoskonalenie i ten ważny przymiot językom, że je loicznymi, i zdolnymi do wzmocnienia i sprostowania myśli czyni, wlewając w nie, że tak powiem, moc rozsądkową smaku, co nie pozwala zbaczać, hamuje fałszywe zapędy, a wraz podaje i mnoży piękności⁷.

I Śniadecki:

Na czym to doskonalenie [języka – M.J.] zależy? [...] Język [...] być powinien jasny, prosty i dostatni. Pierwszy przymiot zależy na tym, aby każda rzecz była właściwie nazwana i to nazwisko wszystkim rzecz znającym zrozumiałe. [...] Język jest prosty, kiedy rzeczy zawiłe, wyniosłe myśli i głębokie pojęcia może wydać zwięźle, zrozumiałe i sposobem zbliżonym do mowy potocznej. [...] Kiedy język może wszystko właściwie i zrozumiałe nazwać i wyrazić, jest językiem dostatnim czyli w nazwiska zamożnym. [...] Doskonali się język, kiedy dopiero wymienione w nim przymioty rozszerzamy⁸.

Dotykamy tutaj sprawy bardzo ważnej. Wielu badaczy słusznie zwracało uwagę na nacjonalistyczny, a nierzadko ksenofobiczny, aspekt dążeń do czystości językowej⁹. Już wkrótce, w epoce romantyzmu, „nasz”

⁷ S.K. Potocki, *Rozprawa pierwsza: o potrzebie ćwiczenia się w ojczystej mowie*, [w:] *idem, Pochwały mowy i rozprawy*, t. 2, Warszawa 1816, s. 329–348, cyt. s. 334.

⁸ J. Śniadecki, *O języku polskim* [1814], [w:] *idem, Wybór pism estetyczno-literackich*, oprac. P. Bukowiec, Kraków 2003, s. 5–21, cyt. s. 16–17.

⁹ Por. M. Jarzabek, *Pojęcie „czystości języka” i „słowa zbyteczne” – przypadek polski XVIII–XX wieku*, [w:] *Z dziejów pojęć społeczno-politycznych w Polsce. XVIII–*

(obojętnie, o jaki „nasz” chodzi) język stanie się właśnie lepszy, lepiej wyrażający najgłębsze prawdy niż powierzchowne języki naszych rywali. W 1808 r. wzorzec takiego rozumowania dał Johann Gottlieb Fichte, przeciwstawiając w swych *Reden an die deutsche Nation* głęboki, filozoficznie zakorzeniony język niemiecki płytkiej i powierzchownej francuszczyźnie. Pamiętając o tym, sędzę jednak, że w czasach nas interesujących istotny – może nie dominujący, ale równie ważny – był aspekt inny. W powyżej cytowanych tekstach, tak jak i w wielu innych, widoczna jest nadzieja, że pielęgnowanie czystości języka pozwoli Polakom myśleć bardziej logicznie. U myślicieli późnego oświecenia widać elementy tej samej szlachetnej utopii, którą ponad 100 lat później ujrzymy u przedstawicieli filozofii analitycznej: wiarę, że klarowny i logiczny język wymusi klarowność i logiczność myślenia. Co za tym idzie, ludzie oświecenia widzieli odwrotne niebezpieczeństwo: „Za zepsutym językiem, jak cień za ciałem, idzie koniecznie upadek smaku, nauk i oświecenia”¹⁰.

Sprawa nie dotyczy samych tylko Polaków. Gergely Berzeviczy, węgierski autor bardzo podobny w swoich zainteresowaniach i poglądach gospodarczych do Wawrzyńca Surowieckiego, i niemalże jego rówieśnik (Berzeviczy ur. w 1763 r., Surowiecki w 1769 r.), napotykał na podobne problemy. W swej pracy z 1797 r. o położeniu chłopów na Węgrzech rozwiązał je jednak inaczej: wybrał łacinę. Dlaczego? *Scribo latine. Neque enim argumento huic, de quo scribo, alia lingua convenire videtur; neque in totius Regni Hungariae complexu aliam linguam publicam, constitutionalem, et certo sensu nobilitarem, esse posse existimo*¹¹. Widać różnicę sytuacji: w krajach Świętej Korony Węgierskiej *lingua publica, constitutionalis, et certo sensu nobilitaris* nie był węgierski, lecz łacina: aż do lat 40. XIX w. sejm węgierski obradował po łacinie, łacina była językiem ustaw, nic więc dziwnego, że była też językiem publicystyki politycznej. W Rzeczypospolitej tę funkcję spełniała już w XVIII w. w ogromnej większości polszczyzna.

XX wiek, red. M. Janowski, Warszawa 2019, s. 43–76; Ł. Sommer, *Od kiedy polski jest „językiem”?* Kilka uwag o języku jako pojęciu historycznym, [w:] *Z dziejów pojęć społeczno-politycznych w Polsce. XVIII–XX wiek*, red. M. Janowski, Warszawa 2019, s. 121–139.

¹⁰ J. Śniadecki, *op. cit.*, s. 11.

¹¹ G. Berzeviczy, *De conditione et indole rusticorum in Hungaria, Leutschoviae* [Lwocza] 1806, s. II. NB egzemplarz dostępny online na stronie Google Books, z którego korzystałem, pozbawiony jest niestety karty tytułowej (tenże sam egzemplarz bez karty tytułowej znajduje się na stronie Austriackiej Biblioteki Narodowej, z adnotacją *ohne Jahresangabe*); nie mam więc całkowitej pewności, że jest to egzemplarz wydania z 1806 r.; niektóre biogramy Berzeviczego w internecie odnotowują także wydania wcześniejsze, z 1802 i 1804 r. Forma *nobilitarem* nie występuje w znanych mi słownikach. Przyjąłem, że to czwarty przypadek l.p. od przymiotnika *nobilitaris*, ale taki przymiotnik również nie występuje w słownikach; może to błąd druku i miało być *nobilior* (czwarty przypadek od *nobilior* – szlachetniejszy)?

Powyższy fragment zdaje się sugerować, że kwestie łatwości wysławiania się odgrywały pewną rolę: skoro łacina jest *lingua constitutionalis*, to zapewne ma ona terminologię dotyczącą np. struktury społecznej czy różnych prawnych form zależności chłopów, którą nie dysponuje język węgierski. Na to samo zdaje się wskazywać zacytowana wyżej fraza, że argumentacji tego dziełka nie wydaje się sprzyjać żaden inny język.

Do powyższego fragmentu Berzeviczy dodał obszerny przypis¹², szczegółowo omawiający argumenty za użyciem łaciny. Tutaj wszakże główną rolę zdaje się odgrywać konieczność języka wspólnego w wielojęzycznym królestwie węgierskim. Sam Berzeviczy, ziemianin ze Spiszu, był człowiekiem pogranicza, a nadzieja, iż dzięki łacinie uda się załagodzić rodzące się już w jego czasach konflikty etniczne, stanowiła ważny element jego światopoglądu¹³. To jednak prowadziłoby nas do (fascynującej skądinąd) problematyki politycznej późnooświeceniowych Węgier – nie rozwijamy tej kwestii. Dla nas ciekawsze jest, że Berzeviczy widzi, iż wybór łaciny także nie rozwiązuje wszystkich problemów. W pewnym sensie wpada on z deszczu pod rynnę: po łacinie także nie da się powiedzieć różnych rzeczy, bo język, który osiągnął swój rozkwit w starożytności, ma znaczenia słów inne niż te potrzebne do ukazania sytuacji Węgier przełomu XVIII i XIX w. Trzeba pisać łaciną z galicyzmami i germanizmami, taką, która byłaby niezrozumiała nie tylko dla starożytnych Rzymian, ale i dla współczesnych cudzoziemców, nieznających specyficznie węgierskich znaczeń słów łacińskich. Berzeviczy daje liczne przykłady takich specyficznych znaczeń, np.: *Dieta nobis denotat Comitia Regni; apud Latinos significat regulam nutritionis vel etiam cubile, in quo diem exigebant*. Widać, iż nie jest głównym celem pisania po łacinie wyjście poza Węgry, przemówienie do międzynarodowej społeczności uczonych (do czego zwykle dążyli wówczas autorzy piszący po łacinie), bo ta miałaby kłopoty ze zrozumieniem tekstu. Powód jest inny: Berzeviczy ma poczucie, że ta zbarbaryzowana, „zhungaryzowana” łacina jest mimo wszystko najlepszym narzędziem powiedzenia tego, o co mu chodzi.

Wszystkie te cytaty (a jest ich o wiele więcej) wystarczająco, w moim przekonaniu, dokumentują fakt, iż w epoce oświecenia problem zdatności języka do wyrażenia myśli i uczuć należał, nie tylko w Polsce, do istotnych kwestii nurtujących ludzi piszących. Samo to stwierdzenie wystarczy, aby uznać zasadność zajmowania się tą sprawą. Jeśli jakiś pro-

¹² G. Berzeviczy, *op. cit.*, s. 56–58.

¹³ Poglądy Berzeviczego na kwestie językowe bardzo ciekawie przedstawia A. Miskolczy, *‘Hungarus Consciousness’ in the Age of Early Nationalism*, [w:] *Latin at the Crossroads of Identity. The Evolution of Linguistic Nationalism in the Kingdom of Hungary*, ed. G. Almási, L. Šubarić, Leiden–Boston 2015, s. 64–94 (o Berzeviczym s. 81–87).

blem był odczuwany w epoce jako realny, może on stać się przedmiotem analizy historycznej.

Można zaoponować: przecież również użytkownicy języka francuskiego wyrażali obawy o niepełną zdolność języka do wyrażenia pojęć. Czy nie był więc to po prostu topos, niezależny od realnej sytuacji językowej? Julian Ursyn Niemcewicz zauważył to zjawisko i komentował:

Jeżeli naród Francuski jeden z najoświecieńszych, ten którego język stał się prawie powszechnym w Europie, którego wyborne pisma są w ręku uczonych, zatrudnieniem myślących, zabawą lekkich, płci pięknej rozkoszą, jeżeli mówię ten naród, tak daleko wydoskonaliwszy swój język, o czystość, o dokładność i jasność jego, tak jest czujnym; ileż naród Polski nie znajduje powodów okazania się troskliwym, o zachowanie i wydoskonalenie mowy swych przodków?¹⁴.

Nawet jeśli stwierdzenie, że „nasz” język może (albo nie może) wyrazić to samo, co francuski czy łacina, powoli stawało się toposem czy wytartą kliszą retoryczną, nie zmienia to sensu mojej argumentacji. Topos nie spopularyzowałby się, gdyby nie trafiał w jakieś czułe miejsce.

II. Ekskurs metodologiczny

Ten fragment napisany został już po ukończeniu całego tekstu. Nie jest więc sprawozdaniem z tego, jaką metodę przyjąłem podczas pracy, lecz raczej próbą refleksji nad problematyką niniejszego tekstu, próbą osadzenia go w niektórych nurtach myśli humanistycznej. Nie ma co ukrywać, że o samym istnieniu części osób wspomnianych w tym fragmencie nie wiedziałem w chwili pisania niniejszego artykułu.

O tym, jak fundamentalne znaczenie dla badania dziejów języka społeczno-politycznego ma niemiecka *Begriffsgeschichte* z Reinhartem Koselckiem na czele, nie warto nawet mówić. Jest dla mnie od wielu lat wzorem i natchnieniem. Jednak problem, który określiłem mianem „nośności” języka nie jest kluczowy dla Koselcka i jego kontynuatorów. Myśl o badaniu współzależności między językiem a wyobrażeniami o świecie społecznym prowadzi nas natomiast w kierunku tzw. hipotezy Sapira-Whorfa. Współczesny polski badacz streszcza ją słowami: „Struktury językowe warunkują postrzeganie, klasyfikowanie, sposoby ujmowania rzeczywistości przez człowieka. [...] W konsekwencji w samym języku zawiera się do pewnego stopnia obraz świata”¹⁵. Nie jest to, ściśle biorąc,

¹⁴ J.U. Niemcewicz, *Synonimy Polskie*, „Pamiętnik Warszawski” 1809, nr 1, s. 22–27, cyt. s. 24.

¹⁵ A. Klimczuk, *Hipoteza Sapira-Whorfa – przegląd argumentów zwolenników i przeciwników*, „Kultura, Społeczeństwo, Edukacja” 2013, nr 1, s. 165–181, cyt. s. 166.

hipoteza; przy tak ogólnym sformułowaniu nie może być oczywiście mowy o jej weryfikacji czy falsyfikacji. Jest to raczej ogólna dyrektywa metodologiczna, nakazująca zwracać uwagę na pewne zjawiska. Jej ewentualna wartość leży w jej konkretnych zastosowaniach, nie zaś w tak ogólnym sformułowaniu, które wydaje się niezbyt sporne (mało kto zechciałby odrzucić tezę, że istnieją *jakieś* związki między językiem a rozumieniem świata), ale też mało odkrywcze. Wybrane prace Edwarda Sapira i Benjamina Lee Whorfa są łatwo dostępne w języku polskim dzięki ich edycji w zasłużonej serii „Plus minus nieskończoność”. Prace te są tak wielostronne, tak obfitujące w ważne, ciekawe i błyskotliwe spostrzeżenia, że ich lektura dostarcza nie tylko dużo radości, ale pozwala – a nie o każdym tekście da się to powiedzieć – dostrzec wiele zjawisk z perspektywy dotąd niezauważanej. Jednak okazało się, że dla mojego problemu prace te nie dostarczają jasnych wskazówek. Sapir i Whorf bowiem zajmują się specyfiką języków, a nie specyfiką epok.

W klasycznym duchu dwudziestowiecznej antropologii, która stara się zrozumieć badane społeczności, a nie wartościować je, obydwaj są przekonani, że – słowami Whorfa – „Żaden język nie jest prymitywny”¹⁶. Sapir pisze: języki Hotentotów i Eskimosów doskonale nadają się do tego, by przetłumaczyć na nie *Krytykę czystego rozumu* Immanuela Kanta; a niewykluczone nawet, że język Eskimosów nadaje się do wyrażenia idei Kanta lepiej niż niemiecki. Jeśli w języku Eskimosów nie ma dzisiaj – dajmy na to – słowa „przyczynowość”, to jest w nim przecież pojęcie przyczyny, a także istnieją formy gramatyczne pozwalające wytworzyć na podstawie tego pojęcia abstrakcyjny rzeczownik oznaczający przyczynowość. To samo dotyczy innych pojęć. Tak więc język Eskimosów (i język Hotentotów też) jest w pełni gotowy na wyrażenie myśli Kanta. Jeśli zaś w tych językach nie ma do tej pory przekładu *Krytyki czystego rozumu*, to dlatego, że obecnie „kultura tych prymitywnych ludów nie jest dostatecznie rozwinięta, by mogły je zainteresować abstrakcyjne koncepcje filozoficzne”. Natomiast „zarówno hotentocki jak i eskimoski posiadają cały aparat formalny, który jest potrzebny jako matryca dla wyrażenia myśli Kanta”¹⁷. Problem leży więc w ogólnym poziomie kultury, a nie w języku. Dodajmy, że w innych tekstach Sapir sprzeciwia się nie tylko wartościowaniu języków, ale również wartościowaniu kultur.

Whorf analizuje różne języki indiańskie i dochodzi do wniosku, że np. język Indian Hopi „obywa się doskonale bez czasów gramatycznych”. Ukazuje, że różnymi innymi formami gramatycznymi można oddać tre-

¹⁶ B.L. Whorf, *Język, umysł i rzeczywistość*, [w:] *idem, Język, myśl i rzeczywistość*, przeł. T. Hołówka, Warszawa 1982, s. 332–362, cyt. s. 349.

¹⁷ E. Sapir, *Gramatyki i jego język*, [w:] *idem, Kultura, język, osobowość. Wybrane eseje*, przeł. B. Stanosz, R. Zimand, Warszawa 1978, s. 96–110, cyt. s. 102.

ści, które języki indoeuropejskie oddają właśnie przez różnice czasów¹⁸. W innym miejscu zastanawia się nawet, jak wyglądałaby fizyka, jak odmienna byłaby od naszej, gdyby stworzyli ją uczeni mówiący innymi niż indoeuropejskie językami. Whorf nie jest zwolennikiem skrajnie spirytualistycznego poglądu, jakoby słowa dawały początek materialnym zjawiskom fizycznym. Chodzi mu o coś mniej kontrowersyjnego: otaczający nas świat fizyczny, w którego realność Whorf nie wątpi, może być uchwycony słownie za pomocą najróżniejszych systemów kategorii i w zależności od tego – odbierany w najróżnorodniejszy sposób. Fizyka, wyrażona innymi kategoriami, byłaby zasadniczo różna od naszej, ale pozostawałaby naukowym opisem tej samej rzeczywistości materialnej. Whorf zdaje się sądzić, że nie ma kryteriów pozwalających ocenić jeden system kategorii opisu świata wyżej niż inny.

Whorf wypowiadał się dobitnie, aforystycznie, jego tezy dobrze się nadawały do cytowania i do polemiki. Sapir był bardziej refleksyjny, widział rzeczy wielostronnie; wiedział, że odrębności kulturowe są co najmniej tak samo ważne jak językowe i mogą wyjaśniać różne wizje świata niezależnie od różnorodności grup językowych. Obecnie wielu antropologów kwestionuje językoznawcze badania Whorfa¹⁹; jednak to nie wydaje mi się problemem. Ciekawa, inteligentna, błyskotliwa teoria nigdy nie upada tylko dlatego, że ktoś wykaże błędność jej podstaw empirycznych. Pozostaje prawomocna jako eksperyment myślowy: nawet jeśli się okazało, że prawdziwi Indianie Hopi znają czas przeszły, to sam fakt, że Whorf przedstawił teoretyczną możliwość budowy języka bez kategorii czasów gramatycznych, już pozwala na ciekawe rozważanie współzależności języka i obrazu świata.

Czytając rozważania Sapira i Whorfa, można nabrać wątpliwości, czy nie jest nadmiernym uproszczeniem widzieć w dziejach języka linearny rozwój w kierunku coraz pełniejszej zdolności wyrażania pojęć i odzwierciedlania zjawisk z życia wewnętrznego lub zewnętrznego. A przecież jest to założenie wstępne niniejszego tekstu. Ostatecznie polską poezję barokową cechowała niesłychana subtelność, teologiczna i psychologiczna, umiejętność wyrażania rozmaitych form życia i doświadczenia religijnego²⁰. Do pewnego stopnia widać to także i w prozie. A był to ten rodzaj

¹⁸ B.L. Whorf, *Model universum Indian*, [w:] *idem, Język, myśl i rzeczywistość*, przeł. T. Hołówka, Warszawa 1982, s. 98–107, cyt. s. 107.

¹⁹ Dziękuję za tę informację dr Oldze Linkiewicz.

²⁰ Podczas dyskusji w IBL-u nad niniejszym tekstem prof. Teresa Kostkiewiczowa wyraziła fascynującą myśl, że przejście od baroku do oświecenia jest przejściem od języka poezji do języka prozy i duża część problematyki tego szkicu dotyczy tworzenia się języka prozy polskiej. Wydaje mi się, że stwierdzenie to otwiera ogromne możliwości badawcze. Trzeba byłoby zastanowić się, jakie są cechy języka poetyckiego (sięgając do *Nauki nowej* Giambattisty Vico, a także do *Poetic Diction* Owena Barfielda) i co musi się

subtelności językowej, który został zdecydowanie odrzucony przez normy literackiego klasycyzmu. Może więc o pewnych rzeczach nie pisano w danej epoce nie dlatego, że język nie był w stanie unieść niektórych treści, lecz dlatego, że pewne treści nie mieściły się w literackim kanonie epoki? Może każda epoka i każda kultura jest w stanie wyrazić w języku to, co jest dla niej istotne? Może. Ale nie jest to oczywiste. Trzeba dla każdego badania zrobić jakieś założenia wstępne, inaczej nie da się ruszyć naprzód. Zresztą również u Sapira i Whorfa można znaleźć myśli, które *implicite* pozwalają wyobrazić sobie możliwości badania historycznego (w przedstawionym powyżej fragmencie o możliwości przekładu Kanta, kiedy odróżnia się gotowość realnie mówionego języka do wyrażenia pewnych treści od gotowości teoretycznego systemu językowego). Można więc, nie odrzucając *a priori* powyższych zastrzeżeń, uznać, przynajmniej na próbę, że jednak mamy do czynienia z jakimś rozwojem języka, a pytanie o jego zdolność bądź niezdolność do wyrażenia pewnych zjawisk jest prawomocne²¹.

Sapir jest postacią ważną jeszcze z jednego powodu. Urodził się na pruskim wtedy Pomorzu Zachodnim; jego rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych; on sam, już w Ameryce, był uczniem Franza Boasa, wybitnego antropologa niemieckiego pochodzenia. Jak pisze Anna Wierzbicka: „Boas [...] był tym podstawowym ogniwem, które w tradycji historycznej połączyło Herdera i Humboldta z Sapirem i Whorfem”²². Zarówno Boas, jak i jego uczeń Sapir przenosili do życia umysłowego Stanów Zjednoczonych elementy tradycji intelektualnej niemieckiego historyzmu, przekładając je na język amerykańskiej antropologii. Tymczasem w Niemczech ich rówieśnicy mówili podobne rzeczy, ale nadal pozostając w ramach niemieckiej tradycji idealistycznej. U Sapira i Whorfa nie ma niebezpiecznych „duchów” narodu czy języka; ale ich cień przecież przeżywa się jakoś poprzez to, co pisali. Ich rówieśnicy w Niemczech tymczasem nie bali się duchów i używali metafor, które dziś muszą wydawać się ryzykowne. W istocie jednak i jedni, i drudzy pozostawali pod wpływem niemieckiej tradycji romantycznej – przede wszystkim myśli Wilhelma von Humboldta o języku. Wydaje mi się, że w koncepcjach niemieckich

zmienić w języku i wyobraźni, aby nowoczesna proza mogła powstać. Niestety nie mogę rozwinąć tego tematu w tym szkicu.

²¹ W opinii tej utwierdza mnie praca Renaty Grzegorzczukowej, o której niżej, a także rozważania Elżbiety Wichrowskiej, mocno akcentującej znaczenie epoki oświecenia dla rozszerzenia sfery stosowania języka polskiego. Por. E. Wichrowska, *Twoja śmierć. Początki dziennika intymnego w Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku*, Warszawa 2012, szczególnie s. 77–82. Sądę, że ustalenia autorki, dotyczące języka zwierzeń osobistych, ważne są *mutatis mutandis*, także jeśli chodzi o język społeczno-polityczny.

²² A. Wierzbicka, *Słowa klucze. Różne języki – różne kultury*, przeł. Izabela Duraj-Nowosielska, wyd. 2, Warszawa 2020, s. 45.

badaczy literatury pierwszych dekad XX w., pracujących pod znakiem nurtu tzw. *Geistesgeschichte* (nie ma polskiego odpowiednika, „historia umysłowości” wydaje mi się najtrafniejsza), rozwijana jest ta sama „antropologiczna” koncepcja badania języka jako pewnego typu kultury. Zarówno Sapir i Whorf, jak i niemiecki nurt *Geistesgeschichte* stoją pod znakiem buntu przeciw nauce pozytywistycznej. Są częścią tego wielkiego nurtu kulturowego, znanego jako reakcja antypozytywistyczna, który dominował w europejskiej kulturze w pierwszej połowie XX w. Sądzę, że w humanistyce (czy również w kulturze jako całości, to inna kwestia) nurt ten uczynił wiele dobrego, uwalniając ją od pozytywistycznego gorsetu, który pod pozorem naukowej metody zniechęcał humanistów do odważnych i dalekosiężnych interpretacji. Z tego też względu uważam, że nurt ten może nadal dostarczyć interesujących inspiracji. Kiedy Karl Vossler pisze o „językach narodowych jako stylach”²³, to w gruncie rzeczy mówi mniej więcej to samo, co obaj amerykańscy antropolodzy, choć używa innych kategorii. Jak podkreśla Maria Renata Mayenowa, Vossler i jego współcześni rozumieli styl szerzej, niż jest to przyjęte w Polsce. Nie chodzi im o świadomie dobrane środki językowe („dobry styl”), ale o takie formy wypowiedzi, których wybór dokonuje się nieświadomie, „podprogowo”. W tym sensie „styl” nie jest czymś zewnętrznym wobec treści wypowiedzi; jest częścią tej treści, a jego analiza jest częścią analizy znaczenia wypowiedzi²⁴. Mamy do czynienia z myślami bardzo bliskimi temu, co głosili Sapir i Whorf, choć nieco inaczej wyrażanymi. Zarówno Vossler jak i Leo Spitzer sprzeciwiają się klarownemu pozytywistycznemu rozdziałowi między językoznawstwem a historią literatury, podobnie jak Sapir i Whorf sprzeciwiają się oddzielaniu lingwistyki od antropologii. W obu wypadkach chodzi mniej więcej o to samo: połączenie badania języka z badaniem znaczeń i sensów; badania formy z badaniem treści.

Vossler pokazuje na przykład, jak istnienie trzech stopni przymiotnika w systemie gramatycznym języka włoskiego wpływa na treść włoskiej poezji lirycznej. Oto mamy rozmaite wiersze skonstruowane w ten sposób, że w trzech kolejnych fragmentach autor odwołuje się kolejno do trzech zjawisk, które same w sobie nie mają nic wspólnego ze stopniowaniem w sensie gramatycznym. Jednak w umyśle użytkownika języka włoskiego taki potrójny schemat utworu literackiego nasuwa skojarzenie ze stopniowaniem przymiotnika, a więc każde następne zjawisko odbierane jest jako mocniejsze²⁵. Oczywiście nie mam kompetencji, by oceniać,

²³ K. Vossler, *Języki narodowe jako style*, przeł. Ryszard Handke, [w:] K. Vossler, L. Spitzer, *Studia stylistyczne*, oprac. M.R. Mayenowa, R. Handke, Warszawa 1972, s. 84–107.

²⁴ M.R. Mayenowa, *Analiza doktryny*, [w:] K. Vossler, L. Spitzer, *Studia stylistyczne*, oprac. M.R. Mayenowa, R. Handke, Warszawa 1972, s. 5–28 (o stylu: s. 14–15).

²⁵ K. Vossler, *op. cit.*, s. 99–100.

czy analiza Vosslera jest poprawna; ale w każdym razie jest ciekawa jako przykład analizy współzależności wypowiedzianych treści z istniejącymi w danym języku formami językowymi.

Cytowane wydanie tekstów Sapira opatrzone bardzo ciekawym wstępem Wierzbickiej. Badaczka podkreśla ich aktualność (z perspektywy końca lat 70. XX w.), a widzi ją przede wszystkim właśnie w tym, o czym wspominałem powyżej: w połączeniu językoznawstwa z badaniem semantyki. Ostrze tekstu Wierzbickiej kieruje się zarówno przeciw zwalczanym przez Sapira scjentystycznie nastawionym pozytywistom, jak i współczesnym Wierzbickiej przedstawicielom językoznawstwa strukturalistycznego z Noamem Chomskim na czele. Nowe pokolenie językoznawców w osobie Wierzbickiej wraca do tradycji sprzed Chomsky'ego; znowu podkreśla rolę problemu znaczenia w badaniach językoznawczych i niewystarczalność samej analizy formalnej struktury gramatycznej. Tak zarysowana została ciągłość między ideami Sapira i Whorfa (a także, jeśli mogę dodać, niemieckich neoidealistów) a współczesną lingwistyką kognitywną. Prace Wierzbickiej i Jerzego Bartmińskiego są dla naszego tematu niezwykle ważne. Analiza porównawcza pojęć *los* i *sud'by* w języku polskim i rosyjskim dokonana przez Wierzbicką²⁶ oraz polemika – uzupełnienie tego tekstu przez Bartmińskiego (który do tej pary dodaje jeszcze po polskiej stronie „dole”)²⁷, jak również prace Bartmińskiego i innych autorów porównujące funkcjonowanie różnych pojęć w polskim i w innych językach – są dla historyka zainteresowanego klasyczną *Be-griffsgeschichte* ogromnie bliskie jego własnym zainteresowaniom. Są też bardzo bliskie tematyce tego szkicu – zajmują się w pewien sposób tym, co określiłem wcześniej jako „nośność” języka, to znaczy możliwościami pewnego typu wypowiedzi w danym języku; możliwościami użycia danych pojęć w określonych kontekstach.

Jest jednak pewna, widoczna na pierwszy rzut oka, zasadnicza różnica. Omawiani autorzy w znanych mi tekstach niemal nie wprowadzają aspektu historycznego – zmian w czasie. „Język” jest badany w pewnej epoce historycznej, albo nawet w pewnym abstrakcyjnym stanie ahistorycznym. Porównuje się struktury gramatyczne, możliwości wyrazu, podobieństwa i różnice znaczeń pojęć w różnych językach, a nie w różnych epokach. Czy ta różnica jednak jest naprawdę tak zasadnicza? Ostatecznie jeśli *the past is a foreign country*, to nie powinno być fundamentalnych różnic między porównaniami w czasie i w przestrzeni. Można założyć, że porównujemy np. dwa różne języki polskie – ten oświeceniowy i ten wcześniejszy („baro-

²⁶ A. Wierzbicka, *Język i naród: polski los i rosyjska sud'ba*, „Teksty Drugie” 1991, nr 3, s. 5–20.

²⁷ J. Bartmiński, *Polska dola, rosyjska sud'ba*, [w:] *idem, Językowe podstawy obrazu świata*, wyd. 5, Lublin 2012, s. 242–251.

kowy”, czy jakkolwiek go nazwiemy) i przy takim założeniu nasze zadanie niemal wcale się nie różni od tego, jakie postawili przed sobą Wierzbicka czy Bartmiński. Oni porównują w przestrzeni, my w czasie, i tyle.

Tutaj jest jednak pewien haczyk. Wstępne pytanie w tym szkicu dotyczy hipotetycznej sytuacji, w której język polski na pewnym etapie swego rozwoju jest gotowy do wyrażenia pewnych treści, nie jest gotowy do wyrażenia innych. Porównanie między różnymi epokami tego samego języka jest jednak czymś innym niż porównanie między dwoma językami: ani język polski nie jest następną fazą rozwoju języka rosyjskiego, ani na odwrót. Istnieją paralelnie. To prawda; ale pamiętając o tym ograniczeniu, możemy jednak znaleźć w tych antropologicznych językoznawczych rozważaniach o współzależnościach między formalnymi strukturami języka a przekazywanymi w nim treściami wiele fascynujących inspiracji, choć może nie tak wiele prostych recept do jednoznacznego zastosowania.

Z powyższych autorów stosunkowo najwięcej uwagi kwestiom historycznej zmienności języka i jego zdolności wyrażania treści poświęciła Wierzbicka, rozważając np. przemiany odcieni znaczeniowych słowa *mate* (kumpel), rozważanego przez nią jako jedno ze słów kluczy kultury australijskiej. Przede wszystkim zaś chciałbym wymienić tutaj niedawną pracę Grzegorzczukowej, zatytułowaną *Język w służbie myśli*. Tutaj zmiana historyczna znajduje się w centrum uwagi. Praca Grzegorzczukowej otwiera przed historykiem polskiego XIX w. pola, których istnienia nawet nie podejrzewał. Wnioski ze studiów we wspomnianym tomie są bardzo bliskie temu, co postawiłem sobie jako cel niniejszego szkicu. Do bardzo ciekawych należą np. uwagi autorki na temat przemian frazy „zależy na tym”²⁸. Autorka bardzo pięknie ukazuje, jak zwrot, znany każdemu czytelnikowi tekstów XIX-wiecznych, w pewnym momencie rozdzielił się na dwie odrębne frazy: „zależy od tego” i „polega na tym”. Analizuje zmiany, jakie musiały nastąpić w języku, aby takie rozdzielenie mogło się dokonać (np. „polegać” musiało przyjąć znaczenie metaforyczne).

Jest wielką zaletą książki Grzegorzczukowej, że omawia różne aspekty dziejów słownictwa na szerokim tle przemian języka i myślenia, nie ograniczając się do podania cytatów dokumentujących ewolucję znaczenia konkretnego słowa, lecz rekonstruując przemiany myślowe, które leżą u podstaw tej ewolucji. Wyróżnia się tym na tle wielu prac językoznawczych ograniczających się do technicznej analizy przemian form gramatycznych. Jednak jest w tych – bardzo dobrych – pracach językoznawczych, zarówno u Bartmińskiego, jak i u Wierzbickiej oraz Grzegorzczukowej, coś, co niepokoi historyka pojęć wychowanego na klasycznej niemieckiej *Begriffsgeschichte*, a także na angielskich badaniach

²⁸ R. Grzegorzczukowa, *Język w służbie myśli. Szkice z dziejów polskiego słownictwa*, oprac. M. Łaziński, M. Chojnacka-Kuraś, Warszawa 2021, s. 109–115, 132–136.

języków politycznych tzw. szkoły z Cambridge. Omawiani tutaj autorzy, z małymi wyjątkami, czerpią z korpusów języka danej epoki, ze słowników dzisiejszych albo dawnych. Efektem takiej metody badawczej jest zaś to, że jako argument przedstawiają pojedyncze zdanie, czasem dwa lub trzy. Niemal za każdym razem nie mogę powstrzymać się od myśli: ja bym jednak chciał poznać szerszy kontekst użycia danego słowa; mieć wgląd nie w trzy zdania, ale powiedzmy w trzy akapity, a może nawet – w trzy strony tekstu, w którym dane słowo się pojawia. Odmienne postępują przywołani wcześniej Vossler i Spitzer, którzy poszczególne słowa i frazy analizują z reguły w kontekście całego utworu literackiego, w jakim dane słowo się znajduje. Nie jest to przypadek: ci badacze, którzy do badań na styku historii języka i historii myśli dochodzą „od strony” historii literatury, mają tendencję do bardziej pogłębionych i szerzej skontekstualizowanych interpretacji niż ci, którzy dochodzą do tych badań „od strony” językoznawstwa. Oba podejścia mają plusy i minusy, nie należy ich wartościować; dla tematyki niniejszego szkicu głębsza analiza niewielkiej nawet liczby cytatów wydaje mi się metodą najbardziej celową, ale z drugiej strony badacze językoznawcy wnoszą częstokroć punkt widzenia, który dla historyka (a w każdym razie dla autora tych słów) jest oryginalny i odświeżający. W książce Grzegorzczukowej takim odświeżającym elementem jest dla mnie zwrócenie uwagi na historię nie pojęć, tych wielkich pojęć, którymi zajmował się Koselleck, tylko zwykłych słów – poszczególne rozdziały poświęcone są słowom „może”, „pewien” czy „skoro”²⁹. Z tej pracy widać wyraźnie, że zmiany znaczenia tych słów są ważne dla historii mentalności, a także w pewien sposób dla historii idei, a nie tylko historii języka. Od nich bowiem w dużym stopniu zależy zdolność języka do wyrażania pewnych znaczeń, do analizowania zjawisk.

III. Projekt pewnego eksperymentu myślowego

Na czym polegałaby owa zdolność języka do wyrażania idei i analizowania zjawisk? Mam na myśli kilka spraw. Oczywiście słownictwo; dalej składnia (łatwość tworzenia form przypuszczających i nierealnych, bez których nie da się zrobić eksperymentów myślowych); zdolność oddania subtelnych uczuć, przede wszystkim ironii, bez której, nawet w bardzo naukowym tekście, rozróżnianie znaczeń jest utrudnione, a przecież *qui bene distinguit, bene docet*. Ironia, oczywiście, nie dotyczy tylko języka. Jest coś takiego, jak ironiczna postawa życiowa, kiedy człowiek z dystansem i sceptycyzmem odnosi się do pewnego typu zachowań czy wy-

²⁹ W pewnym sensie jest to postawa badawcza podobna do tej, którą widzimy w *Studies in words* Clive’a S. Lewisa.

powieźi. Taka postawa prawdopodobnie zdarza się w kaźdej epoce, na kaźdym szczeblu językowego rozwoju. Natomiast możliwość oddania tej ironii w tekście pisanym (a nie mówionym, kiedy można się posłużyć gestem, mimiką czy intonacją) jest już jak najbardziej uzależniona od subtelności języka, jaki mamy do dyspozycji. Kolejny element owej subtelności to oczywiście istnienie tradycji pisania na dany temat, tradycji gatunku literackiego. Obok języka i indywidualnego talentu literackiego angielska tradycja powieści, o wiele bogatsza od polskiej, była czynnikiem ułatwiającym Jane Austen jej zadanie.

Nie chodzi więc tutaj wyłącznie o słownictwo: jego historii daleko jest wprawdzie do zadawającego opracowania, ale jest trochę prac naukowych i trochę słowników z epoki, od niezastąpionego Lindego poczynając, pozwalających nam zorientować się w zasobach leksykalnych, które miała do dyspozycji późnooświeceniowa polszczyzna. Mam wrażenie podobne do tego, które było udziałem bohaterów tego szkicu: że myślę o czymś, czego nie umiem nawet, nie będąc językoznawcą, naleźycie wyrazić. Chodzi o frazeologię: nie tylko istnienie utartych związków frazeologicznych, ale i o to, jakie słowa mogą (albo nie mogą) znaleźć się w sąsiedztwie jakichś innych. Chodzi też o to, czy dane znaczenia słów, inne od ich znaczeń najbardziej podstawowych, są ciągle jeszcze odczuwane jako metafora (a więc są częścią kunsztu pisarskiego i operowanie nimi może sprawiać pewną trudność), czy wytarły się na tyle, że stały się po prostu kolejnym słownikowym znaczeniem danego słowa? Oto banalny przykład: „rynek”. Kiedy słowo to pojawia się w znaczeniu abstrakcyjnym: wyobraźonej przestrzeni, na której dokonuje się ogół transakcji gospodarczych danego kraju? A kiedy już pojawi się w tym znaczeniu, to ile czasu upłynie, zanim przestanie być odczuwane jako metafora? Kiedy owo abstrakcyjne rozumienie przestanie być metaforycznym użyciem słowa oznaczającego plac targowy, a stanie się po prostu odrębnym równoprawnym znaczeniem? Tutaj dygresja: George Lakoff i Mark Johnson w swej klasycznej książce bardzo mocno argumentują na rzecz tezy, że właśnie metafory „wytarte”, niedostrzegalne mówią najwięcej o danym typie kultury. Za przykład podają fakt, że w naszej kulturze spór naukowy używa metaforyki wojennej, i każą sobie wyobrazić język, w którym taki spór używałby na przykład metaforyki tańca. Czy to jeszcze nadal byłby spór naukowy, czy już jakieś odmienne zjawisko?³⁰ To wszystko prawda, ale mi chodzi o coś innego. Metafory wytarte, niedostrzegalne nie utrudniają argumentacji (niezależnie od tego, że mogą ją nakierowywać w sposób niedostrzegalny dla mówiącego – to zupełnie inna kwestia). Metafory świeże, nowe, wzbogacają wyobraźnię, ale utrudniają argumentację.

³⁰ G. Lakoff, M. Johnson, *Metafory w naszym życiu*, przeł. T.P. Krzeszowski, Warszawa 1988, s. 27.

Ważne dla mojego tematu jest i to, jaką dane słowo ma formę gramatyczną, a nawet jak jest zapisane. W jakiś bardzo subtelny sposób „kometa” rodzaju męskiego (w *Panu Tadeuszu*: „był to kometa pierwszej wielkości i mocy”) czy też „album” rodzaju nijakiego (jeszcze w latach 50. XX w. w dzienniku Jana Lechonia „album”, w każdym razie w liczbie pojedynczej, jest nieodmienne, tak jak „muzeum”), jest czymś innym niż kometa rodzaju żeńskiego czy album rodzaju męskiego. Przewóz towarów *transito* to coś innego niż przewóz towarów tranzytem. Poczucie niepełnej asymilacji językowej danego słowa wzmacnia poczucie obcości zjawiska oznaczanego przez to słowo. To wszystko zaś wpływa na to, w jaki sposób autor tekstu jest w stanie przedstawiać rzeczy oznaczane przez słowa; jakie linie rozwojowe analizowanych przez siebie zjawisk może rysować – linie rozwojowe dotyczące zjawisk, ale przecież zjawisk przedstawianych za pomocą słów.

Czy to wszystko, o czym pisałem w powyższych dwóch akapitach, nie dotyczy zjawiska od lat badanego przez kognitywne językoznawstwo i określanego jako językowy obraz świata? Walery Pisarek, wprowadzając to pojęcie do polskiego językoznawstwa, zdefiniował w 1978 r. „językowy obraz świata” jako „obraz świata odbity w danym języku narodowym”³¹. Pojawiły się później coraz to nowe definicje. Jednak wydaje mi się, że dla badaczy językowego obrazu świata najważniejsze pozostaje pytanie o to, co dany językowy obraz świata zawiera, a nie o to, czego w nim nie ma. A mnie właśnie to interesuje: chodzi o rozpoznanie obszarów tego, o czym epoka nie mówi, bo jej język tego nie dostrzega.

Jeśli miałbym szukać jakichś teoretycznych uzasadnień dla mojej próby, to może przywołałbym Norwidowską koncepcję milczenia: „We wielkich umysłowych wyrobach wieków i epok to, co było *przemilczeniem* całego umysłowego ogółu jednej epoki, stawa się wygłosem literatury Epoki drugiej następnego wieku, a co ta przemilcza, wygłosi jeszcze następna, swoje znowu dla trzeciego przemilczenie ze sobą wnosząc”³². Norwidowi chodziło o milczenie w sprawach wielkich, centralnych dla epoki, mi chodzi o kwestie ważne wprawdzie, lecz nie tak kluczowe. Niemniej ten obraz epoki, która „podprowadza” myśl pod jakiś problem, ale sama nie jest w stanie tego problemu wyartykułować, i problem ten nurtuje pod powierzchnią aż do chwili, gdy wyartykułuje go epoka następna, jest być może dobrym uogólnieniem kwestii, którą staram się tu przedstawić.

³¹ Definicja zacytowana przez Grzegorzczukową: R Grzegorzczukowa, *Punkty dyskusyjne w rozumieniu pojęcia językowego obrazu świata – widziane z perspektywy badań porównawczych*, „Etnolingwistyka. Problemy Języka i Kultury” 2009, t. 21, s. 15–29, cyt. s. 16.

³² C. Norwid, *Milczenie*, [w:] *idem, Pisma wszystkie*, t. 6, cz. 1, oprac. J.W. Gomułicki, Warszawa 1971, s. 219–248, cyt. s. 244.

I oczywiście nasuwa się pytanie: czy tych „przemilczanych” problemów nie dostrzega język danej epoki, czy pozajęzykowa „mentalność”? W jakiś sposób chodzi o współgranie jednego z drugim. Dla obrony sensowności badania przedstawionego tutaj problemu wystarczy przyjąć stosunkowo mało sporne założenie, że język w jakiś sposób wpływa na wyrażane treści – ale ich nie determinuje, jedynie w jakiś sposób ułatwia lub utrudnia mówienie o pewnych sprawach. Bo przecież po to, aby księżna Wirtemberska albo Kropiński, albo fikcyjny bohater powieści Parnickiego mogli zacząć się zastanawiać, czy język, który mają do dyspozycji, jest w stanie wypowiedzieć wszystkie ich myśli lub emocje, muszą mieć poczucie, że mają w głowie coś więcej poza tym, co może być w języku wypowiedziane.

Tutaj można zadać pytanie³³: czy przynajmniej niektórzy z autorów epoki – może nie Surowiecki czy Staszic, ale na pewno arystokraci jak Wirtemberska czy Potocki – nie myśleli po francusku? Gdyby tak było, problematyka niniejszego eseju przedstawiałaby się nieco odmiennie. Osoby dwujęzyczne nie miałyby problemu z myśleniem o rozmaitych kwestiach, których język polski jeszcze nie był w stanie w pełni wyartykułować, bo myślałyby o tych kwestiach po francusku, a nie po polsku. Ich problem polegałby co najwyżej na tym, jak wyrazić po polsku rzeczy, które rysują im się w głowie w pełni klarownie.

Odpowiedź wymagałaby szerszych, niż jestem w stanie przeprowadzić, rozważań na temat zjawiska dwujęzyczności. Z perspektywy historyka widoczne jest jedno: dwujęzyczność niemal nigdy nie polega na identycznej znajomości i stosowalności dwóch języków. Niemal zawsze jeden z języków służy do omawiania innych problemów niż drugi albo jest używany w kontaktach z innymi osobami, a jeśli z tymi samymi, to w innych sytuacjach społecznych. Oczywiście znajomość drugiego języka (co w praktyce dla interesującej nas epoki zwykle znaczy: francuskiego) ułatwiała myślenie o najróżniejszych problemach. Nie jest jednak powiedziane, że akurat te problemy, które dana osoba chce poruszyć po polsku, ma już przemyślane i skonceptualizowane po francusku. W wielu wypadkach prawdopodobnie tak nie było, a więc nawet osoba dwujęzyczna musiała podjąć się konceptualizacji swoich polskich wypowiedzi, jedynie w niewielkim stopniu czerpiąc ze swej znajomości języków obcych.

Aby spróbować przybliżyć się do odpowiedzi na powyżej przedstawione problemy, postanowiłem wykonać eksperyment: wcielić się na chwilę w autora z początku XIX w. Piotr Kuligowski, w swej ważnej pracy o myśli demokratycznych radykałów Wielkiej Emigracji, zapytał niedawno, dlaczego

³³ Na które zwrócili mi uwagę Jarosław Czubyty i Maciej Mycielski.

żadna z interesujących mnie postaci nie napisała nigdy odrębnego traktatu, który byłby całościowym wykładem ich stanowiska wobec procesów modernizacji. Broszura taka [...] nie mogłaby, nawiasem mówiąc, nosić tytułu 'O modernizacji ukochanej ojczyzny', gdyż słowo to jeszcze naówczas w polszczyźnie nie funkcjonowało. [...] Autor zatytułowałby swą pracę raczej: 'O podniesieniu rękodzieł i zbudowaniu fabryk w Polsce', 'Czy ojczyzna nasza może być przemysłowa', względnie 'O krajach przemysłowych i o krajach odległym leżących'. Nie miejsce tu jednak na ćwiczenie w pastiszu na język epoki³⁴.

Nie, z całą pewnością nie miejsce tutaj na ćwiczenie w pastiszu języka epoki. Ćwiczenie dotyczy czegoś poważniejszego. Skoro celem jest ukazanie ograniczeń języka (a dopiero pośrednio – uwidocznionej w języku mentalności), to nie wystarczy tutaj próba jak najlepszego podrobienia stylu polskiego dyskursu społeczno-gospodarczego w epoce napoleońskiej. Ćwiczenie polega na próbie powiedzenia pewnych rzeczy, które wiem, będąc o dwa stulecia młodszy od hipotetycznego autora zaprezentowanego poniżej tekstu. Chciałem przedstawić pewne najogólniejsze myśli dotyczące teorii zacofania, modernizacji i rozwoju zależnego, tak jak znamy ją w wersji klasycznej z lat 60. czy 70. XX w. z pism Witolda Kuli, Tadeusza Łepkowskiego, a na świecie – choćby Harveya Leibensteina, Walta Rostowa, Alexandra Gerschenkrona czy Immanuela Wallersteina. Czy da się pisać o efekcie demonstracji, o starcie do wzrostu, o rozwoju zależnym, nie znając tych pojęć?

Umyślnie pominąłem późniejszy rozwój tych idei: krytykę „klasycznej” teorii modernizacji i zacofania gospodarczego jako nadmiernie jednostronnych i schematycznych, rozwój koncepcji postkolonialnych. Trudno bowiem usiłować oddać w języku późnego oświecenia polemikę z ideami zacofania i modernizacji, zanim jeszcze sprawdziliśmy, czy same te idee dają się w tym języku wyrazić. Ewentualnie można by spróbować napisać drugi traktacik, będący polemiką z pierwszym, nie jestem jednak pewien, czy taka kontynuacja mojej zabawy miałaby sens.

Nie wystarczy badać realnie istniejące teksty z epoki: spróbowałem podchwycić styl początku XIX w., tak aby styl ten niósł mnie w trakcie pisania, aby w jakiś sposób sam kierował tokiem rozumowania autora; aby język oświecenia miał szansę „mówić mną”, a tym samym wciągnąć mnie w to, co Jan Baudouin de Courtenay nazywa „myśleniem językowym” Polaka sprzed dwóch stuleci. Pisząc, chciałem poczuć, kiedy język stawia mi opór, pokaże, że nie jest w stanie unieść tego czy innego znaczenia. Obciążając język ponad historyczną miarę, a więc zachowując się świadomie ahistorycznie, chciałem dokonać swoistej próby obciążeniowej. Czy mi się powiodło – oczywiście nie wiem. Ważne jest, że pisałem

³⁴ P. Kuligowski, *Radykałowie polistopadowi i nowoczesna galaktyka pojęć (1832–1888)*, Kraków 2020, s. 27.

intuicyjnie, zdając się na moją – niedoskonałą – znajomość epoki i jej piśmiennictwa. Podczas pisania nie zaglądałem do Lindego ani innych słowników, nie konsultowałem się z ówczesnymi autorami.

Dodam tylko, że istnieją historyczne i psychologiczne granice owej ahistoryczności. Nie wyobrażam sobie tekstu z czasów napoleońskich przedstawiającego kompletny modernizacyjny projekt socjalistyczny. Z drugiej zaś strony nie bardzo wyobrażam sobie rozbudowany tekst z tamtej epoki, pozostający w nurcie konsekwentnego liberalizmu gospodarczego i zarazem przedstawiający program modernizacyjny. Jest pewnie parę drugorzędnych wyjątków³⁵, jest także jeden wyjątek pierwszorzędny: Dominik Krysiński, o którym będzie jeszcze mowa. Na ogół leseferyzm był bowiem przejawem gospodarczego tradycjonalizmu, skoro w kraju peryferyjnym modernizacja wymagała z reguły aktywności państwa. Zapewne dałoby się napisać w języku z czasów napoleońskich traktat w duchu, powiedzmy, Milтона Friedmana albo przeciwnie, Róży Luksemburg, ale byłaby to już inna zabawa, z gatunku *pure nonsense*, jakby ktoś tłumaczył na staropolski, bo ja wiem, instrukcję użycia komputera czy smartfona. Mój tekst ma wykraczać poza myślenie językowe dominujące w epoce, ale tylko trochę, tak aby dał wyczuć granice tego myślenia.

Jeszcze trzy uwagi o poniższym tekście: jest on krótki, o wiele krótszy, niż byłby prawdziwy szkic na te tematy z początku XIX w.; lubiano wtedy pisać obszernie. Jednak zarówno ja znudziłbym się pisaniem, jak i moi czytelnicy – czytaniem, gdybym miał napisać czterdzieści, a nie cztery strony. Możemy założyć, że to jest konspekt – że nasz fikcyjny autor napisał sobie czterostronicowe streszczenie przygotowywanego obszerniejszego studium. I druga uwaga: w tekstach z początku XIX w. widać wyraźną różnicę między stylem retorycznym w mowach i pochwałach (np. u Potockiego) a suchszym stylem naukowej rozprawy (Surowiecki). Nie wiem dlaczego, nasz autor skłania się bardziej ku temu pierwszemu. Być może da się to wyjaśnić jego wiekiem: jeśli się urodził w drugiej połowie lat 50., jeśli był pokoleniowo bliższy Staszicowi i Kołłątajowi niż Surowieckiemu, to miał większą szansę nasiąknąć owym stylem w szkołach, a nawet może w instytucjach publicznych. Zresztą przykład Staszica pokazuje, że oba style mogą się łatwo mieszać (jak np. w *O statystyce Polski* i w *O Ziemiórództwie Karpatów i innych gór i równin*).

³⁵ Zob. np. fizjokratyczne rozważania na temat konieczności wprowadzenia wolnego handlu zbożem w czasopiśmie redagowanym przez tak czołowego zwolennika oświeceniowej modernizacji, jakim był Piotr Świtkowski: P. Świtkowski, *Maksymy rządu Kraju rolniczego*, „Pamiętnik Historyczny polityczny ekonomiczny Przypadków, Ustaw, Osób, Miejsc i Pism wiek nasz szczególnie interesujących”, kwiecień 1788, s. 323–329 (dalej w tekście: „Pamiętnik”).

Wreszcie, kiedy bezpośrednio po napisaniu poniższego traktaciku zająłem, przygotowując niniejsze wprowadzenie, do różnych prawdziwych tekstów z przełomu XVIII i XIX w., moim pierwszym wrażeniem było zarozumiałe stwierdzenie: mój tekst jest lepszy! – to znaczy brzmi bardziej „z epoki” niż teksty prawdziwe. Dopiero po chwili się zmytygowałem: jeśli to prawda, to znaczy, że nie udało mi się moje zadanie, bo napisałem pastisz, a nie poważny tekst w języku polskim epoki napoleońskiej. To moje wrażenie wzięło się zapewne stąd, że różne środki stylistyczne i rozwiązania w zakresie słownictwa, typowe dla epoki, znajdują się w moim tekście w zgęszczeniu większym niż w jakimkolwiek tekście prawdziwym. Zdania zaś są zapewne zbyt krótkie, krótsze, niż byłyby w prawdziwym ówczesnym tekście³⁶, zwłaszcza skłaniającym się ku stylowi retorycznemu – przez co owo wrażenie zgęszczenia stylu ponad rzeczywistą normę z epoki jeszcze się nasila. Jest to oczywiście moja porażka jako autora, ale jednak być może nie umniejsza to znaczenia tego tekstu traktowanego jako sprawdzenie „nośności” ówczesnego języka polskiego. Zgęszczając styl epoki, utrudniłem sobie bowiem zadanie w tym sensie, że w takim zgęszczonym stylu trudniej jest wyrazić rzeczy nowe – forma bardziej wpływa na treść. Jeśli więc mimo to pewne nowe idee udało się w tekście przedstawić, to znaczy, że prawdziwy język epoki, mniej „skondensowany”, tym bardziej byłby zdolny do ich wyrażenia.

IV. Rezultaty

Na początku tego punktu trzeba wyjaśnić, że to, co zostało przedstawione poniżej, to naprawdę rezultaty „próby obciążeniowej”. Przedstawiam kilka tez o języku społeczno-gospodarczym początku XIX w., podkreślając bardzo mocno, że nie są one efektem szerszych badań historyczno-językowych, ale rezultatami eksperymentu myślowego, którego założenia zaprezentowałem powyżej. Innymi słowy, najpierw napisałem tekst, zamieszczony jako aneks do niniejszego szkicu, potem przeczytałem go sobie i zastanowiłem się, jakie z niego wypływają wnioski, a na końcu sprawdziłem pewną liczbę cytatów źródłowych, które nie są systematycznym dowodzeniem – bądź też obaleniem – postawionych tez, ale jedynie ilustracją moich przypuszczeń. W tym sensie poniższe punkty można traktować jako pytania badawcze dla dalszych poszukiwań. Szczegółowa analiza sprawdzająca te przypuszczenia pozostaje do zrobienia.

Jakie są więc rezultaty owej próby obciążeniowej? Po pierwsze, wiadać, jak myśl naszego fikcyjnego autora, wbrew jego zamiarom, schodzi mimowolnie od analizy teoretyczno-ekonomicznej do historycznej.

³⁶ Zwrócił mi na to uwagę Maciej Mycielski.

Humanistyczne odczytanie ogólnie wykształconego człowieka tamtej doby wyznaczało, jak wiadomo, szczególne miejsce historii. Historyczny sposób opowiadania to przede wszystkim utrzymana w trzeciej osobie (liczby pojedynczej lub mnogiej) narracja w trybie oznajmującym i czasie przeszłym. Przyzwyczajenie do narracji tego typu utrudnia śledzenie (a tym bardziej tworzenie) rozmaitych możliwości rozwoju: innymi słowy utrudnia analizę, rozumowanie typu „jeśli zdecydujemy się na taką politykę, konsekwencje prawdopodobnie będą takie, jeśli na inną, to inne”. Narracja historyczna „ściąga” opowieść ku sobie.

Po drugie, brakuje w pełni rozwiniętego narzędzia językowego, umożliwiającego umieszczenie dychotomii „zacofanie – rozwój” na osi czasowej (choć są już jego załączki). Dychotomia „kraj przemysłny – kraj zaodłożony” zbudowana jest na bazie Surowieckiego. Myśl owej dychotomii u niego istnieje, ba – jest osią jego pracy. Są też pojęcia „kraju zaodłożonego”³⁷, a z drugiej strony – „kraju przemysłnego”³⁸. Jednak skontrolowanie obu pojęć w jednym zdaniu czy akapicie chyba u Surowieckiego nie występuje. Wybicie tego przeciwieństwa w tytule – to jest innowacja mojego autora (z ukłonem w stronę Kuligowskiego), sądzę, że do pomyślenia w tekście z początków XIX w. Ta dychotomia w zasadzie oznacza to samo, co dychotomia „kraj wysoko rozwinięty – kraj zacofany”, ale bez zaznaczenia, że oba leżą na jednej osi czasowej. Kraj zaodłożony leży odłogiem, kraj przemysłny rozwija „przemysł”; ale pole leżące odłogiem nie jest wcześniejszą formą „przemysłu”! To dwa typy krajów znajdujące się obok siebie, a nie dwie fazy rozwoju gospodarczego. W źródłach z epoki występuje też „kraj polerowny”, z grubsza to samo co „kraj przemysłny”, ale nasze spostrzeżenie i tutaj pozostaje w mocy. W myśli społecznej przełomu XVIII i XIX w. w oczywisty sposób istnieje idea rozwoju zależnego. Istnieje też idea zacofania (choćby w sławnym cytacie ze Staszica, przytoczonym przez mojego bohatera). Istnieje wreszcie idea rozwoju gospodarczego. W „Pamiętniku” Świtkowskiego z 1787 r. czytamy w tekście zatytułowanym *Dzieje różnych krajów. Austria*: „Dzieje krajów cesarskich są pięknym obrazem szybkiego wzrostu i wzmagającej się narodowej szczęśliwości”³⁹. Uderzająca jest fraza „szybki wzrost”, jakby przeniesiona z czasów o 200 lat późniejszych. Czy rzeczywiście znaczy ona to samo co dziś – można wątpić, ale nie będziemy rozważać tej kwestii szczegółowo. Chodzi o to, że istnieją idee rozwoju, rozwoju zależnego i zacofania, ale nie ma klarownego systemu pojęciowego, aby idee te skonkretyzować i stworzyć z nich spójną konstrukcję myślową.

³⁷ W. Surowiecki, *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. J. Grzywicka, A. Łukaszewicz, Warszawa 1957, s. 33–246, cyt. s. 127.

³⁸ *Ibidem*, s. 60.

³⁹ „Pamiętnik Historyczno Polityczny”, marzec 1787, s. 331.

Po trzecie, nieprecyzyjność stosowanych kategorii, które są dopiero w stadium powstawania. U Surowieckiego, a za nim i u naszego fikcyjnego autora, widać – co widzieliśmy już w poprzednim akapicie – szerokie rozumienie pojęcia przemysłu, w którym mocne jest jeszcze etymologiczne znaczenie przemysłowości. Tak np. „nadzwyczajna czynność i industria narodowa”⁴⁰ Anglików w „Pamiętniku” Świtkowskiego (1787 r.) to chyba – sądząc z kontekstu, który dotyczy finansów, a nie produkcji – właśnie „przemysłowość”, nie „przemysł” – choć nie można być tego całkowicie pewnym. Zwykle brak rozróżnienia „przemysłu” miejskiego od rolniczego (o rolnictwie: „szacowny ten przemysł”⁴¹). Podobnie Józef Pawlikowski, pisząc o przyczynach złego stanu gospodarki rolnej w Polsce: „Uprawa dobra zależy od przemysłu, przemysł w niewoli nigdy być nie może. Chcąc w ludziach wzbudzić przemysł, trzeba zapewnić ich o pewnym użytku z przemysłu, trzeba czasu na doświadczenie, a co najwięcej, myśli bez trosk”⁴². Tutaj „przemysł” oznacza chyba z jednej strony „przemysłowość”, a z drugiej – różne nowoczesne ulepszenia w rolnictwie, ale chyba nie „przemysł miejski”. Z tym ostatnim spotykamy się za to w kolejnym cytacie, w którym widać już przeblask nowszego rozumienia interesującego nas pojęcia: „W pracy powszechnej wszystkich obywateli widzę ten nieprzebrany fundusz, widzę go w znoju rolnika, widzę go w przemyśle miejskim”⁴³ (czy to jednak oznacza, że „przemysł” jest tu rozumiany jako rzecz specyficznie miejska, czy też „przemysł miejski” jest w rozumieniu autora podgrupą szerszego pojęcia „przemysł”, które może obejmować także i wieś?). Nawet tak niezwykle nowoczesny myślowo („burżuazyjny”, powiedziałoby się kilkadziesiąt lat temu) autor, jakim był Krysiński, nie zna tego rozróżnienia: „industria rolnicza w sposobie przykładania się do bogactwa narodowego pewnym podlega prawom”⁴⁴.

Jak w tylu innych przypadkach doskonałego przykładu dostarcza nam słownik Lindego, ukazujący przemiany znaczeniowe *in statu nascendi*. Oto definicja słowa „przemysł”: „Przemysłowanie czynne nad zarobkiem, handlem, gospodarstwem”. I zaraz potem po niemiecku: *Gewerbseifer, Gewerbsfleiss, Betriebsamkeit, Industrie* (to wszystko są w rozumieniu Lindego najwyraźniej synonimy) – *Nachdenken und Thae-*

⁴⁰ *Stan niniejszej Anglii, czyli dokończenie wiadomości przeszłorocznych o Narodzie Brytańskim*, „Pamiętnik Historyczno Polityczny”, styczeń 1787, s. 13–36, cyt. s. 17.

⁴¹ W. Surowiecki, *O upadku...*, s. 63.

⁴² J. Pawlikowski, *O poddanych polskich roku 1788*, [w:] *Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, t. 1, oprac. J. Woliński, J. Michalski, E. Rostworowski, Wrocław 1955, s. 11–73, cyt. s. 25.

⁴³ J.B. de Courtenay, *Uwagi ogólne nad stanem rolniczym i miejskim* [1789], w: *Materiały do dziejów Sejmu...*, t. 1, s. 111–120, cyt. s. 113.

⁴⁴ D. Krysiński, *O ekonomii politycznej*, b.m. i r. wyd. [1812], s. 16.

*tigkeit in Verbesserung seines Gewerbes, Handels, seiner Wirthschaft*⁴⁵. Dalej następują przykłady, potem jeszcze jedno znaczenie słowa przemysł – „fortel”. Powoli zbliżamy się od przemysłu jako „przemysłności” do przemysłu jako „przemysłnej działalności gospodarczej”, ale u Lindego nie ma jeszcze śladu ograniczenia przemysłu do działalności produkcyjnej na większą skalę i związanej z miastem. Występuje tu więc nieostra kategoryzacja, w której „przemysł” do pewnego stopnia jest kategorią nadrzędną obejmującą różne formy działalności gospodarczej, ale w pewnym stopniu także kategorią węższą, obejmującą działalność rzemieślniczą i „przemysłową” w naszym znaczeniu. Utrudnia to rozróżnienie między produkcją przemysłową a rolniczą (nie mówiąc już o braku rozróżnienia między przemysłem a rzemiosłem). Dokładniej mówiąc: te rozróżnienia myślowe oczywiście istnieją (inaczej nie mogłoby być mowy np. o recepcji myśli fizjokratów), ale przez nieprecyzyjność pojęć są trudne do wyartykułowania.

Owa nieprecyzyjność dotyczy przede wszystkim pojęć, które dotyczą szerokich, abstrakcyjnych zjawisk gospodarczych, obejmujących duże obszary i duże grupy ludności. W związku z tym trudno jest prowadzić badanie „z lotu ptaka”: analizować zachowanie całych wielkich grup społecznych lub całości gospodarki. Surowiecki zna pojęcie kapitału, ale zdaje się, że używa go w znaczeniu pieniędzy będących do dyspozycji jednego właściciela; używa też, podobnie jak inni autorzy, słowa „fundusz”⁴⁶, a w tym znaczeniu, w jakim mówimy o kapitale społecznym czy kulturowym, mówi o „zapasie”⁴⁷. U Jana Ferdynanda Naxa, o pokolenie starszego niż Surowiecki, mamy już w 1790 r. pojęcie ekonomiki politycznej, czyli „publicznego gospodarstwa jakiego udzielnego państwa czy narodu”⁴⁸; Nax pisze też ładnie o „ogólnym zbiorze szczęśliwości publicznej”, który „złożony jest ze szczególnych fortun prywatnych, collective zebranych”⁴⁹. Te opisowe wyjaśnienia świadczą o nieoczywistości wprowadzanych pojęć.

W słowniku Lindego bardzo pięknie uchwycono moment tworzenia się pojęcia popytu. „POPYT – popytanie, pytanie powtarzane, opyt, *die Nachfrage*”. I przykład użycia: „Ten towar tylko dla popytu mamy”, z wyjaśnieniem: „Rs. *Илонука*, próbka, *essay*”⁵⁰. Z tej definicji, cytatu i nawiązania do języka rosyjskiego nie wynika w pełni jasno, czy fraza „dla

⁴⁵ S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. 2, cz. 2, [litera] P, Warszawa, u autora, 1811, s. 1114.

⁴⁶ W. Surowiecki, *O upadku...*, s. 77.

⁴⁷ W. Surowiecki, *O upadku...*, s. 65.

⁴⁸ J.F. Nax, *Wykład początkowych prawideł ekonomiki politycznej* [1790], [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. W. Sierpiński, Warszawa 1956, s. 3–211, cyt. s. 8.

⁴⁹ J.F. Nax, *op. cit.*, s. 86.

⁵⁰ S.B. Linde, *op. cit.*, s. 921.

popytu” oznacza tyle co dziś „ze względu na popyt” (tj. ze względu na „pytanie powtarzane” o dany towar) czy też „na próbę” – czyli zapewne mała ilość towaru dla sprawdzenia, czy się sprzeda, to znaczy jaki jest na niego popyt. W każdym razie widać, że słowo o ogólnym znaczeniu „powtarzanego pytania” staje się – bardzo powoli – technicznym terminem z dziedziny życia gospodarczego. Jednak naszemu fikcyjnemu autorowi zamieszczonego poniżej tekstu z jakichś względów nasunęły się pod pióro raczej słowa „oferowanie” i „pożądanie” niż podaż i popyt – słowa mniej techniczne, wzięte z języka ogólnego.

Drugi przykład dotyczy pojęcia rynku. Na postawione powyżej pytanie, kiedy „rynek” stał się terminem technicznym z dziedziny gospodarki, można, wydawałoby się, dość jasno odpowiedzieć. W 1812 r. w Wilnie ukazała się książka Jana Znoski, w której używa się wprawdzie słowa „targ”, a nie rynek, ale pod tym słowem mamy już najzupełniej nowoczesne pojęcie rynku. Mamy też „podział pracy” (który „ma [...] swoje granice w wielkości i rozciągłości targu”⁵¹), „produkt pracy narodu”, wartość (z rozróżnieniem na bezpośrednią i zamienną), a także „spożywaczy”, czyli konsumentów. Jest jednak jedno zastrzeżenie: książka Znoski nie jest oryginalna, jest przeróbką Adama Smitha; co więcej, nie jest nawet oryginalną przeróbką Smitha, lecz przekładem przeróbki niemieckiej. Należy zatem zapytać o rolę przekładów w przyswajaniu nowych pojęć. Wydaje się, że jest ona fundamentalna i książka Znoski może nas tylko utwierdzać w tym przypuszczeniu. Jednak z drugiej strony zdaje się, że takie przyswojenie jest bardziej bezrefleksyjne, a więc powierzchowne. Nie jest trudno przekalkować niemieckie *Markt* na polskie „targ” i otrzymać w ten sposób pojęcie rynku. Słowa obce, kalki słów obcych lub neologizmy, jeśli są stosowane w zdaniach będących własnym tworem piszącego autora, wymagają więcej refleksji niż te same słowa użyte podczas tłumaczenia cudzego tekstu. Można się domyślać, że wprawdzie dzięki przekładowi słowa i pojęcia przychodzą wcześniej, niż przyszłyby w innym wypadku, lecz mogą mieć większe trudności z aklimatyzacją. Innymi słowy: przejmujemy z zagranicy terminologię, słowa, ale to niekoniecznie znaczy, że przejmujemy pojęcia przez te słowa oznaczane.

Po czwarte, kontynuując powyższe rozważania: niejasność aparatu pojęciowego dotyczy także struktury społecznej. Surowiecki wymienia, za Jean-Baptiste Sayem, „trzy stany: rolniczy, rzemieślniczy i kupiecki, pracujące około zubożania kraju”⁵². Wart uwagi jest też podział społec-

⁵¹ J. Znosko, *Nauka ekonomii politycznej podług układu Adama Smitha*, Wilno 1811, w drukarni XX Bazylianów, s. 3. Por. W. Giza, *Narodziny polskiej myśli ekonomicznej w ośrodku wileńskim*, „Zeszyty Naukowe Akademii Ekonomicznej w Krakowie” 2001, nr 585, s. 107–119.

⁵² W. Surowiecki, *O upadku...*, s. 62.

czeństwa na „dwie główne klasy” – miejską i wiejską⁵³. Na innym miejscu pisze on jednak o „stanie rycerskim” – to zupełnie inna logika podziału społecznego, w której za kryterium wyróżnienia siłą językowej inercji uznane zostało historyczne już w czasach napoleońskich zobowiązanie szlachty do służby wojskowej. Wracając do „klasy” – jest ona obecna co najmniej od drugiej połowy XVIII w., początkowo zwykle z przydawką dopełniaczową („Klasa ludu”) ⁵⁴. Ta przydawka świadczy, że pojęcie klasy jest wieloznaczne i domaga się doprecyzowania. Zdaje się zresztą, że jest to zjawisko typowe dla różnych pojęć: najpierw muszą być dokładnie określane, a w pewnym momencie przydawka staje się niepotrzebna (najpierw „postęp czasu”, a potem tylko „postęp”). Klasa, jak i inne pojęcia na określenie części społeczeństwa, może znaczyć najróżniejsze grupy, w powyższym cytacie oznacza ogół ludności wiejskiej, ale może też oznaczać np. „klasę włościan szarwarkowych i zaciężnych” ⁵⁵, a więc pewną podgrupę w ramach ludności wiejskiej. Zdaje się, że właśnie w momencie kryzysu systemu stanowego wyobrażenia o strukturze społeczeństwa były szczególnie chwiejne (w odniesieniu do przemian wyobrażenia szlachectwa pisał o tym kiedyś Jerzy Jedlicki).

Jeśli wolno znowu na chwilę rzucić okiem na Węgry. Berzeviczy wyraźnie pisze o swych kłopotach pojęciowych, wyjaśniając tytuł swojej książeczki: *De conditione et indole Rusticorum*. Istniejące w węgierskim prawie pojęcie kolona nie pasuje: *Colonus enim ille est qui Sessionem habet Colonicalem* [*Sessio* to pełne gospodarstwo chłopskie nadane osadnikowi, a więc to samo, co u nas łan – M.J. ⁵⁶], *inquilinorum multitudo igitur sub hac denominatione non comprehenderetur. Ruricola, Agricola* odnosi się tylko do szlachty, a *Contribuens* – do mieszkańców miast. Wybrał więc neutralne słowo *Rusticus*, niemające treści prawnej – lecz oto znowu kłopot! Nie może zatytułować swej książeczki *de Rusticorum statu*, bo *Rustici in Hungaria status non sunt*: nie ma na Węgrzech stanu określanego jako *Rustici*. Aby uniknąć nieporozumienia, aby żaden z czytelników nie myślał, że chodzi mu o *status Rusticorum* w sensie prawnym, zdecydował

⁵³ W. Surowiecki, *O statystyce Księstwa Warszawskiego*, [w:] *idem, Wybór pism*, *op. cit.*, s. 241–492, cyt. s. 410.

⁵⁴ F. Peplowski, *Słownictwo i frazeologia polskiej publicystyki okresu oświecenia i romantyzmu*, Warszawa 1961, s. 179.

⁵⁵ Maryan R..., *O włościanach*, „Pamiętnik Warszawski”, kwiecień 1809, s. 97–117, cyt. s. 103. Szeroki materiał dotyczący najróżniejszych określeń ludności chłopskiej w polskim oświeceniu zanalizował ostatnio Krzysztof Maćkowiak: K. Maćkowiak, *Leksyemy nazywające członków stanu chłopskiego w polskiej publicystyce oświeceniowej*, „Język Polski” 2020, r. 100, z. 2, s. 102–113.

⁵⁶ O pojęciu *sessio* jako jednym z określeń łanu (węg. *telek*) na średniowiecznej wsi węgierskiej – por. I. Szábo, *A középkori magyar falu*, Budapest 1969, s. 12–13.

się więc na słowa *Indoles Rusticorum*, które oznaczają mniej więcej to samo co po niemiecku *Character der Bauern*⁵⁷.

Przed takimi samymi problemami stawali i polscy autorzy, tylko nie analizowali swoich dylematów tak klarownie.

Pewną formą uchwycenia struktury społeczeństwa mogą być także metafory bądź porównania, które nie odnoszą się do poszczególnych grup, lecz do społeczeństwa jako całości. Krysiński, który należał do osób najlepiej przyswajających zachodnie kategorie myślenia społecznego (może obok Antoniego Gliszczyńskiego), przedstawił chyba dość nową na polskim gruncie analogię społeczeństwa i maszyny.

Uważając ciało polityczne jako maszynę z rozmaitych złożoną części, które na siebie podług pewnych praw działają, ruch jej nadają, nie masz tam żadnego, że tak powiem, kółka, którego by działanie na całość obrachować nie można; żadnej dźwigni, której by punkt wsparcia wyznaczonym być nie mógł. Wynajdowanie więc sposobów, za pomocą których części tej maszyny z niewielkim tarcie a tym samym dzielnie bez wielkiego własnego nadwężenia funkcje swe odprawiać by mogły, jest i być powinno najwyższym zamiarem tych, którym układ tej maszyny jest powierzony⁵⁸.

Dlaczego ta analogia nie upowszechniła się, lecz przegrała współzawodnictwo z analogią społeczeństwa i organizmu – to byłby temat na fascynujące osobne studium.

Można dodać jeszcze i piąty punkt, tym razem zwracający uwagę nie na ograniczenia tekstu czy języka, ale na to, co udało się wyrazić. Tekst naszego fikcyjnego autora jest raczej analityczny niż moralizatorski (pamiętając o tym, co powiedziano w punkcie pierwszym, że owa analiza ma tendencję do ześlizgiwania się w opis historyczny). Polskie oświecenie nie rezygnowało oczywiście z tekstów moralizatorskich – pojęcie cnoty jest tutaj kluczowe – ale nie jest już tak, żeby język „ściągał” analizę ku moralizatorstwu. Wydaje się, że Stanisław Konarski był pierwszy, który oddzielił te dwie dziedziny i odróżnił „techniczną” stronę reform politycznych od rozważania problemów etycznych: sama przemiana moralna Polaków nie wystarczy do przezwyciężenia kryzysu Rzeczypospolitej, potrzebne są rozwiązania instytucjonalne, jak zniesienie liberum veto. Anna Grześkowiak-Krwawicz pisała, że język moralizatorski należał do głównych przeszkód w tworzeniu programów reform ustrojowych. Te dwa języki są już w czasach, gdy powstaje nasz fikcyjny traktacik, dość

⁵⁷ Berzeviczy, *op. cit.*, s. 59.

⁵⁸ *Korespondencja w materiach obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających. Część pierwsza*, Warszawa 1807, w drukarni Gazety Warszawskiej, s. 142 (Dominik Krysiński do Józefa Kalasantego Szaniawskiego, Warszawa 23 VII 1807).

wyraźnie oddzielone od siebie, co oczywiście nie znaczy, że nie mogą występować w tych samych tekstach.

Naszemu fikcyjnemu autorowi udało się też przedstawić koncepcję tego, co później określało się jako rozwój zależny; nie jest to może wielkie osiągnięcie, bo elementy myślenia w kategoriach rozwoju zależnego, jak pisałem, są w źródłach obecne. Ale starałem się, tu już świadomie anachronicznie, oddać (w przedostatnim akapicie tekstu, zaczynającym się do słów „jest tu jednak dilemma”) oświeceniowym językiem jeszcze jedno przekonanie: że w drodze centralnej alokacji zasobów nie da się podjąć optymalnych decyzji inwestycyjnych, bo jedynie rynek dostarcza informacji zwrotnych, pozwalających trafnie podejmować owe decyzje. Mogę się mylić, ale zdaje mi się, że w polskiej literaturze ekonomicznej dopiero u Józefa Supińskiego, jakieś pół wieku po naszym fikcyjnym autorze, mamy zbliżoną refleksję. Pewnych elementów takiego rozumowania możemy dopatrzeć się u Krysińskiego; krytykując protekcyjną politykę Fryderyka Wielkiego, opisuje on, jak jego próby odgórnego zaprowadzenia „kultury jedwabiu” zawiodły „i sztuczną kulturę po stracie znacznych kapitałów ze szkodą indywidualnej przemysłu za niewłaściwą dla kraju uznano”⁵⁹. W pełni jednak idea ta sformułowana została dopiero w okresie międzywojennym, podczas wielkiego sporu o racjonalność ekonomiczną gospodarki socjalistycznej z udziałem Oskara Langego, Ludwika von Misesa i Friedricha A. von Hayeka (a tuż przed pierwszą wojną ciekawie rozważał ten problem włoski ekonomista Enrico Barone). Jeśli więc moje – bardzo szkicowe, w kilku zdaniach – przedstawienie tego problemu jest językowo poprawne (to znaczy, jeśli ten fragment byłby zrozumiały dla czytelnika z czasów napoleońskich), możemy przypuszczać, że jakieś inne niejęzykowe względy zadecydowały o tym, że epoka napoleońska w Polsce owej myśli nie wyartykułowała. To oczywiście tylko przypuszczenie; możliwe, że próba szczegółowego przedstawienia tej tezy w języku początków XIX w. napotkałaby na nieprzezwyciężone trudności.

V. Wnioski

Te wszystkie przedstawione wyżej niedostatki systemu pojęciowego wydatnie utrudniają naszemu fikcyjnemu autorowi analizę zjawisk.

Utrudniają, ale nie uniemożliwiają. Ewa Siatkowska w swej historii języków zachodniosłowiańskich pisała, że „polszczyzna w okresie oświecenia osiągnęła pierwszy etap swojej ‘dojrzałości’”. Wyjaśniała:

⁵⁹ D. Krysiński, *op. cit.*, s. 13.

Szczegółowe badania nad leksyką tego okresu wykazują nie tylko jej znaczny wzrost ilościowy, ale także coraz wyraźniejsze ‘porządkowanie’: uściślanie znaczeń, ustalanie zabarwienia uczuciowego, usuwanie jednej z dwu form o tym samym znaczeniu. [...] W okresie oświecenia dochodzi do wyraźnego podziału między oficjalną i potoczną wersją języka. Wówczas to kształtują się zręby systemu językowego literackiej polszczyzny⁶⁰.

Tymi względami autorka uzasadniała zakończenie swego zainteresowania rozwojem języka polskiego na przełomie XVIII i XIX w.: w dalszej części książki zajmuje się już tylko innymi językami słowiańskimi. Jeśli zgodzić się z tym argumentem, to owa dojrzałość oczywiście nie oznacza, że język nie rozwija się dalej, ale oznacza możliwość wypowiadania się na te tematy, które autor chce poruszyć – mamy już, na pokolenie przed Słowackim, „język giętki”.

Na przedstawionym przez Siatkowską etapie rozwoju języka brak fachowej terminologii i niektórych narzędzi pojęciowych nie uniemożliwia wypowiadania nawet stosunkowo finezyjnych koncepcji na temat zacofania gospodarczego i modernizacji. Uniemożliwia natomiast, a w każdym razie niezwykle utrudnia, pogłębienie tych koncepcji. Pojęcie, którego nie zna polszczyzna, da się przedstawić omownie, a ostatecznie można poratować się latynizmem lub neologizmem. Przydatna jest tu kategoria „luki semantycznej”. Taką lukę – jak pisze Bartmiński – „w komunikacji udaje się wypełnić okazjonalną peryfrazą”, a sama luka semantyczna „nie musi oznaczać luki pojęciowej”⁶¹. Dodajmy: nie musi – dopóki nie jest zbyt wielka. Wydaje się, że istnieje jakaś granica wielkości tej luki, powyżej której nie da się jej doraźnie załatać.

Czasem pięknie widać, jak autor jakiegoś tekstu zastanawia się nad doborem słów: pisze tak, jakby sprawdzał różne słowa, czy dobrze oddadzą ideę intuicyjnie chwytaną przez autora, ale jeszcze nie w pełni skonceptualizowaną (Ksawery Szaniawski w 1809 r.: „W każdym towarzystwie i w połączeniu towarzystw w jedno, czyli w jednym państwie, uważa się dobro powszechne, dobro ogółu, dobro towarzystwa całego, i dobro szczególne członków towarzystwa, oddzielnie branych, ile to jest zgodne z dobrem ogólnym”⁶²). Starania Szaniawskiego uwieńczone są sukcesem: z grubsza wiemy, o co mu w powyższym zdaniu chodzi. Ale takie słowa, których znaczenia autor nie jest pewny, do których musi dodawać synonimy, aby sprecyzować sens, są trudne w użyciu – takimi

⁶⁰ E. Siatkowska, *Rodzina języków zachodniosłowiańskich. Zarys historyczny*, Warszawa 1992, s. 260–261.

⁶¹ J. Bartmiński, *Miejsce hiperonimu w definicji leksykograficznej*, [w:] *idem, Językowe podstawy obrazu świata*, Lublin 2012, s. 52–58, cyt. s. 56.

⁶² K. Szaniawski, *O Obywatelstwie*, „Pamiętnik Warszawski” 1809, nr 2, s. 226–33, cyt. s. 227.

słowami, podobnie jak *ad hoc* ukutymi „ratunkowymi” frazami albo dłuższymi omówieniami wypełniającymi lukę semantyczną, bardzo trudno jest swobodnie operować. Nie da się nimi żonglować.

Anonimowy autor w 1809 r. pisząc o polskim przekładzie kodeksu Napoleona, zauważał: „W naukach są wyrazy techniczne czyli właściwe naukom, nieznane w potocznej mowie i w literaturze nieużywane”⁶³. Jest to ciekawe świadectwo świadomości zmiany językowej: istnieje samo pojęcie terminu technicznego, jak również świadomość, że żyjemy w czasach ich wytwarzania.

Tutaj zastrzeżenie: brak intuicyjnie zrozumiałych terminów technicznych może do pewnego stopnia sprzyjać rozwojowi myśli. Śliczne sformułowanie Naxa, zacytowane powyżej, świadczy o podjętym przezeń wysiłku umysłowym. Czy jest nadużyciem uznanie, że ma on na myśli coś takiego, jak produkt krajowy brutto, a może – patrząc od innej strony – kapitał społeczny? W każdym razie sam musi wyrąbać sobie własną ścieżkę w dżungli ówczesnej polszczyzny. Gdyby miał do dyspozycji wyrobioną terminologię, to by mógł bezmyślnie przejąć takie czy inne pojęcie – a tak musi myśleć o tym, co pisze. W takiej widocznej w wielu tekstach pracy myślowej leży jeden z największych uroków polskiego oświeceniowego piśmiennictwa w kwestiach społecznych. Czasem ową pracę myślową najłatwiej jest nam zobaczyć na przykładzie terminów, które ostatecznie nie przyjęły się w polszczyźnie – bo nas zaskakują, co zmusza nas, aby zwrócić na nie uwagę, zastanowić się nad sposobem rozumowania, który doprowadził do takiego, a nie innego ich sformułowania. Uroczą „ugoda pospolita” u Hieronima Stroynowskiego w znaczeniu „umowa społeczna”⁶⁴ może tu być bardzo dobrym przykładem. Jednak sądzę, że koszty górują nad zyskami: trudność w wyrażeniu myśli chyba jednak jest większą przeszkodą w formułowaniu wyводу niż konieczność wypracowania własnego aparatu pojęciowego – pomocą. Mimo niegotowego aparatu pojęciowego można przedstawiać nawet ogromnie błyskotliwe myśli: trudniej systematycznie rozwinąć ich konsekwencje.

Utrudniona też jest polemika. Póki nie wytworzą się terminy techniczne, póty łatwo o nieporozumienia. Nieporozumienia są oczywiście cechą konstytutywną każdej polemiki i nie dałoby się pewnie wskazać przykładu takiej debaty na dowolny temat, w której któraś ze stron nie zarzucałaby adwersarzowi niezrozumienia toku argumentacji. Wbrew temu, co sądzili filozofowie analityczni, te nieporozumienia są w dyskusji czynnikiem pozytywnym: umożliwiają wyjście poza perspektywę tekstu,

⁶³ X.S. [Ksawery Szaniawski?], *O tłumaczeniu Kodeksu Napoleona w Polskim języku*, „Pamiętnik Warszawski” 1809, nr 7, s. 52–60, cyt. s. 53.

⁶⁴ H. Stroynowski, *Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomii politycznej i prawa narodów*, wyd. 4, Warszawa 1805, s. 72.

z którym się polemizuje, ujawniają nowe, niedostrzegane dotąd aspekty problemu. Bez nich dyskusjom groziłaby jałowość. Niemniej jest tak tylko do pewnego stopnia – zbyt rozchwiany system pojęciowy grozi mówieniem już nie tyle „obok” tekstu, z którym się polemizuje, ile w zupełnym oderwaniu od niego. Pozostaje do zbadania na konkretnych tekstach, czy to moje przypuszczenie jest słuszne.

A może sens tego mojego „źródłotwórczego” eksperymentu jest inny, niż mnie samemu się do niedawna wydawało? Może traktacik w języku sprzed ponad dwóch stuleci niczego nie dowodzi, nic nie wykazuje? Może jedyna jego funkcja jest taka, że dał mi pochop do refleksji nad powstawaniem nowoczesnego polskiego języka społeczno-gospodarczego, a wszystkie tentatywne wnioski przedstawione w niniejszym artykule można było sformułować i bez niego? Może. Ale nawet i w tym wypadku traktacik ten spełnił swoje zadanie.

Wyobraźmy więc sobie naszego fikcyjnego autora: urodzony gdzieś w latach 50. XVIII w., w rodzinie szlacheckiej, na prowincji. Podczas edukacji w jakimś kolegium, pijarskim czy jezuickim, nasiąkł elementami stylu retorycznego, który w zasadzie jest w pełni klasycystyczny, dbały o klarowność i unikający makaronizmów, lecz w którego upodobaniu do wzniosłości znać jeszcze, tak jak u Naruszewicza, lekki powiew barokowej wrażliwości językowej. Ten autor, zapewne średniozamożny ziemianin z pewnymi ambicjami intelektualnymi, zna łacinę, a od biedy zdolny jest coś przeczytać i po niemiecku, i po francusku (ale nie po angielsku). Odbił kiedyś podróż na Zachód, teraz zaś spędza część roku w Warszawie, a część w swym majątku. Abonent prasy, zdecydowany zwolennik oświeceniowych reform, przeczytał oto Surowieckiego i pod jego wrażeniem skreślił te kilka stroniczek. Może będzie chciał je wydać w „Pamiętniku Warszawskim”, kiedy ten wznowi swe istnienie w 1815 r., może roześle paru przyjaciółom rękopis, może nawet dotrze do Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk? Zobaczmy, co napisał.

(Nb. Nie trzeba dodawać, że pisownia została zmodernizowana według zasad projektu instrukcji wydawniczej dla tekstów XIX-wiecznych Ireneusza Ilnatowicza, z pewnymi odstępstwami.)

Kraj przemysłny i kraj zaodłożony [ok. 1812 r.]

Filozof nasz dobroczynny, WP Wawrzyniec Surowiecki, dobroczynny, mówię, ile że się nie rzeczami teologów i poetów zatrudnia, lecz obmyśleniem środków około kraju naszego podniesienia, w piśmie swym znakomitym, pod napisem O upadku miast w Polsce, pisze o krajach przemysłnych i krajach zaodłożonych, jakże odmiennej każdy z nich widząc

być natury. Zaraz wszakże do inszych przechodząc materii, potocznie tylko problemat ów wystawia, szczególności nie zgłębiając, do nakreślenia statystyki krajowej spiesząc. Przyszła mi więc myśl, abym choć i słabymi mymi siły, nad dwiema tymi krajów formami się zamyślił, cechy onych ukazał, *differentiam* i *similitudinem* jednych do drugich okryślił.

Dość jest na tym, rozglądać się pilnie dookoła siebie. Pola ugorne, drogi błotniste, miasta zaniedbane, a nawet tutaj w stołecznym i rezydencyjnym JKM mieście Warszawie ta sama ulica, która dziś imię Wyzwolicieła Naszego Najjaśniejszego JCM Cesarza Napoleona nosi, brzydkim błotem i szlamem przechodniów po kolana, a wozy po osie topi. O nędzy chłopków pracowitych, o niedoli miast naszych, a w nich mieszczan i żydów, niech zamilczę lepiej. Jakże inaczej, kto z nas w Niemieckich krajach bywszy, tamecznym się miastom i wsiom przyglądał; kto w Paryżu będąc, prospekta tamecznych drukarni przejrzał, gdzie w rok jeden pewnie więcej się ksiąg w jednej oficynie drukuje niżeli przez lat dziesięć w całej Polsce. Prawdziwie, racją miał Wiel. X. Staszyc, gdy mówił: „Polska nasza jeszcze w wieku piętnastym, Europa już ośmnasty kończy!”.

Nad ową Polski i Europy paralełą dłużej nieco zatrzymać nam się wypada. Rzeczy powierzchownie każdemu widoczne na głębszych fundują się przyczynach; one wysledzić, jest chlubnym filozofa zadaniem. Przyczyny one z rozmaitych uważać można względów, nam tutaj na dwóch starczy. Uważając, *primo*, z historycznego względu, pokazać potrzeba, jak *historice*, w toku najróżniejszych rodu ludzkiego rewolucyj, tych kondycyjów zrodził się początek, które inny los naszej części Europy, jakże inny polerowniejszym kontynentu częściom przepisały.

Uważając zaś, *secundo*, ze względu towarzyskiego, okazać należy, jak stan towarzystwa dzisiejszy jednym krajom ku bogactwu i szczęśliwości, drugim ku ubóstwu i lamentom drogę otwiera. Jest bowiem *nexus* tajemny, wierźchniemu spojrzeniu niewidomy, między duchem czasu, naturą praw krajowych, dzielnością stanu urzędniczego, oświeceniem publiczności, samymi nawet ułudzeniami i przesadami w towarzystwie ugruntowanymi, a stanem bogactw krajowych i zdolnością pomnażania onych. Ów *nexus* choćby w małej części odsłonić, w tym piśmie przedsięwziąłem.

Ad primum zatem. Rzymskiego Państwa Imperium pierwsze drogę ku bogactw i towarzystw postępowi Europejskim krainom otwarło. I proszę: Gdzie niegdyś w mrokach cieniów grube Keltów siedliska, teraz słońce Italii; gdzie niegdyś krwawe z człowieka ofiary, teraz duch prawa; gdzie niegdyś nieznacznym ludek w ustronnych krył się lepiankach a w strumieniach twarz strudzoną obmywał, teraz akwedukta wodę najczystsza do studni, do łaźni, do wodotrysków z gór dalekich toczą. Pół wtóra bez mała upłynęło już tysiąclecie, jak pod mieczem barbarów Rzym stary upadł; mchem akweduktów i teatrów porosły zwałiska; a przecież! duch prze-

mysłu, w interesach słowność, włościan swoboda, a niemniej także i starowność większa wokół życia codziennego rozkoszy, nadal ziemie niegdyś rzymskie od niegdyś barbarzyńskich oddziela. Prawda – nie wszystkie. Zniewieściałe w rozkoszach dumne Bizantyny miecz Turczyna grubego pogromił; krainy Greków i Ilirów, niegdyś Rzymskie, pod cesarzów tureckich berłem odpadły od wspólności z Italią i innymi Europy krajami. Gdzie jednak stopa Turczyna nie powstała, dziedzictwo dawnego Rzymu po dziś dzień kwitnie. Są przecież w Europie i takie krainy, co Rzymskiego nie zaznawszy panowania, same w pustce ugorów niedoleżnymi staraniami swoimi gonić w polorownych krajów ślady się jęły. Powiodło się niektórym krajom, osobliwie Niemieckim, jak Pruskiemu królestwu; nie powiodło innym. W naszej Polsce były za Zygmunatów chwile, żeśmy w sztukach i naukach pewnie ku przodkującym krajom zdążali. Niestety! Chłopów niewola w niwecz dążenie to obróciła. Czemuż tak się stało? Skąd tej niewoli początek? Ile głów, zdań tyle. Zanim przeto pilni dostrzegacze początek ów wysłedzą, powiedzmy lepiej o zgubnych jej skutkach.

Pierwszym z nich jest niechybnie upadek pieniężnego obrotu, co kolejną dał pochop upadkowi całego gospodarstwa. Chłop niegdyś produkta swe na targu sprzedawszy, panu wsi czynsz płacił; teraz pracą panu oddaje, co niegdyś gotową monetą, a tak bez pieniądza miasto i wieś zostaje; stąd kredyt drogi i do dostania trudny, bez którego gospodarstwo krajowe chroma. Drugim – stanu szlacheckiego nad innymi w kraju stanami zgubna wszechwładza, miast pogńębienie, królewskiej godności zdeptanie, stąd hydra anarchii, która za króla śp. JM. Stanisława przykrócona w obrzydłej Targowicy łeb podniosła, a tak kraj nasz zgubiła.

Ad secundum – przechodźmy teraz do dzisiejszego krain tych towarzyskiego stanu. Skąd miał swój początek – widzieliśmy, jakim dziś się jawi – popatrzymy.

Francuskie, Brytańskie, przebiegając państwa, jak niemniej Niemieckie krainy, a wraz i z nimi sąsiadujące Duńskie od północy, Helweckie od południa dzierżawy, obraz pomyślności oczom naszym się ukazuje. Miasta i wsie zarówno chędogie, chata wyrobnika choć uboga, starowna, ciepła i zdrowa, bieda sama tak porządna, czysta, że prawie dostatkiem być się zdaje; lud pracowity, skoro dobrze widzi, że nikt mu jego własności gruntowej ani owoców jego pracy nie odbierze, że prawo i policja krajowa nad jego majątkiem, by i najwięcej skromna, tak dobrze czuwa jak nad największych panów włościami. A przecie te to krainy niegdyś od barbarzyńców łupione, co one bied i nieszczęść zaznały, nim do dzisiejszego stanu doszły; co wojen, po których spalonych chat ubogi jał się odbudowywać oracz zgłiszczą; co rabunków, upadków, po których od nowa budowę poczynąć przyszło? A przecież wszystkie te kraje od nędzy do dostatku wspiąć się potrafiły, los swój odmienić zdołały. I skądże, proszę,

wszystkie te odmiany; z jakiegoż biorą się źródła? Światło rozumu, gdy w najdalsze dociera strony, inszy krajostan ukazuje, niż ten, jakim go dotąd mieszkańce jego widzieli. Dawniej, bogatszych nie znający krain, pryncypiów nauki policji nieświadomi, nędzę swoją stanem naturalnym, dla zmiany nieprzystępnym, być rozumieli. Wiedzą teraz swe niedostatki, widzą inne w przemysłności przodkujące kraje; a tak nabierają szczerzej ochoty naśladowania onych. Nie dość jednak na tym. Opatrzność sama, mile zawsze na człowiecze ku lepszemu zapędy patrząca, onym przychylny świat stworzyła; towarzyskie i gospodarskie ulepszenia spływają w kraj zaodłożony, zmianę jego możebną czyniąc.

Jest wszakże w samej naturze ludzkiej dobitnie wrazone, iż nie odpowiadają skutki zamiarom naszym. Ma człek wiekiem sterany swe zwyczaje i przesady, co mu nowych życia dróg przyjąć wzbraniają, choćby i najmędrsi doktorowie najloiczniej mu wykazywali, iż nimi zdrowie swe, szczęśliwość i na tym świecie bytność ulepszą i przedłużą. Tak i kraj zaodłożony ma swe zwyczaje, swe drogi, którymi prace publiczności postępują, a choć powolnie, i nędzny byt przynosząc, przecież zginać jego mieszkańcom nie dają. Bywa, że gdy mieszkańce jego entuzjazmem wzięci, kraju przemysłnego sposoby naśladować się silą, nędzę swą tylko gruntują. Bywa i inaczej; gdy mieszkańce kraju zaodłożonego nic, jak tylko w dawnych swych sposobach postępować są radzi, samo sąsiedztwo kraju przemysłnego, choćby o tym sąsiedztwie nic w kraju zaodłożonym nikt nie wiedział, gospodarstwo tego ostatniego niszczy – bez niczyjej złości, lecz jedynie, jak roztropany Montesquieu mówi, przez konieczne stosunki, płynące z natury rzeczy. Oba te wypadki bliżej przepatrzyć nam przystoi.

Najpierw więc: w czym naśladowanie krajów polerownych, samo w sobie pochwały godne, niebezpiecznym być może? Innymi słowy tę kwestią postawmy: Na czym pomyślny sukces przemiany gospodarstwa krajowego zależy? Pewnie na tym, że nowe maszyny, nowe stosunki rzeczy, nowe życia formy na podobieństwo krajów polerownych w kraj zaodłożony wprowadzone, onego gospodarstwu nowy zapal, iż tak się wysłowię (bo kwestią, w krajowych pismach dotąd z lekka tylko traktowaną, podjąwszy, nowych słów poszukiwaniem, nowych znaczeń starym nadawaniem, zatrudniać się muszę), nowy popęd dają; raz zaimplantowane, coraz szerszy okrąg obejmują, niczym kamień w toń stawu rzucony, falami cyrkularnie się rozchodzącymi całą toń koleją wzrusza. Zanimby się jednak ten sukces pożądaný w ciało miał oblec, liczne czyhają przeszkody, które bieg rzeczy pomyślny łączno zwichnąć mogą. Wszakże nie zaraz przyrost bogactw krajowych się staje; owszem, trzeba, aby część dóbr, od ust odjąwszy, w pieniężny zapas obrócono. Zapas ten przeznacza się na maszyny, na utrzymanie umiętnych inżynierów one doglądających, wreszcie na środki surowe, z których dopiero nowe produkta wyrobić się mogą.

To wszystko czasu potrzebuje. Na krótką więc metę zwiększona gospodarstwa krajowego dzielność losu ludu nie poprawia; owszem, pogarsza go, bo od natychmiastowej konsumpcji posiadanych zasobów odwodzi, zasoby owe bowiem z czasem dopiero, nie natychmiast, pożądany owoc wydać mogą. Lud tymczasem burzy się, a rządce jego, taniego szukając poklasku, bywa, iż zachwieją się na swej drodze, od zmian zbawiennych odstąpią, a tak wszystko po dawnemu zostaje. Gdy jednak, dajmy na to, ten pierwszy zmian period po czasie niejaki pomyślnym uwieńczony zostaje sukcesem – nie koniec niebezpieczeństwom! Gdy ludu życie znosiniejszym nieco się staje, gdy nowe produkta odbył swój wśród mieszkańców znajdując, zysku nadzieją fabrykantów mają – bywa, że po czasie niejaki całość produkcji krajowej (rozumie się, że w proporcji do liczby mieszkańców, nie *absolute*, liczona) znów zmniejszać się poczyną. Jakże się to dzieje? Zwyczajną naturze ludzkiej kolej, gdy wyrobnik uciśniony wytchnienia nieco znajduje – liczba kraju mieszkańców rośnie, bo żywność lepsza, lepsze pomieszkawanie, zdrowszymi ludźmi czynią, życie ich przedłużają. Ten efekt, sam w sobie błogosławiony, bo na liczbie dzielnych pracowników dobrobyt towarzystwa zależy, na nowe niebezpieczeństwa gospodarstwo krajowe naraża, skoro zwiększona mieszkańców liczba zwiększa zarazem, proporcjonalnie do zwiększenia owej liczby, konsumpcją krajową, a tak na nakłady, wzrost produkcji umożliwiające, nie staje już środków, produkcja przeto krajowa, choć *absolute* powiększona, *per capita* też samą co dawniej zostaje.

Dodajmyż, że zbawienne reformy nie dopiero skutek swój wezmą. Niewoli chłopów wzniosły i wspaniały umysł Wyzwolicielem naszego na wieki koniec położył; a zastarzałe rzeczy stosunki tak dobrze, jak niegdyś, trwają, zaś ile czasu minie, nim się zmienia, któż to wiedzieć może. Wytrwałość, którą *res parvae crescunt*, najlepszym tu będzie doradcą, cóż gdy na niej narodowi naszemu zbywa.

Niebezpieczeństwa z naśladowań wynikłe przepatrzwszy, przejdźmy do drugiej kwestii: niebezpieczeństw z samego sąsiedztwa wynikających. Przypuśćmy kraj zaodłożony, który ma kraj polerowniejszy za sąsiada. Oto już samo nawet takie sąsiedztwo samą istnością swoją dawne życia sposoby uniemożliwia. Patrzcież, jak niczym potop płyną w kraj ten towary; już przełamane tamy, już niszczą, co napotkają; jak wody wiosenne zasiewy, tak zalew cudzych towarów niszczy krajowych przemysłów załączki. Kraj polerowny w pomyślność i byt dobry obrasta, kraj zaodłożony gdzie był, tam stoi, owszem, biednieje.

Cóż mu czynić wypada? Może granice swe zamknąć, cłami zalew towarów cudzych powstrzymać – aleć to jeszcze nie sprawi, że jego własna industria wzrośnie, bo producenci krajowi, brakiem konkurencji rozradowani, nie mając żadnej przyczyny produkować lepiej i taniej, zyski

swe nad proporcją rosnącymi zobaczą, skoro przy oferowaniu, które pożądanu nie odpowiada, jakkolwiek lichy i kosztowny oferują towar, zawsze znajdzie nabywcę. Lepiej pewnie, gdy Rząd ojcowski, o dobro mieszkańców pieczołowity, granice otwarte dla wyrobów cudzych zostawi, ale zarazem w krajowych warstatach kupuje, co dotąd w cudzoziemskich zwykł był kupować. Więc przede wszystkim dla wojska potrzebne aparaty, mundury, oręż. A dalej niech rząd ów krajowych rzemieślników przy budowach, reperacjach, zatrudnia; niech otwiera rządowe dla ludzi uczonych posady, by do szkół młodzież przyciągnąć, edukacją publiczną, przez Kommissją Edukacyjną tak chwalebnie rozpoczętą, dalej rozszerzać. A może lepiej jeszcze gdy praw niewzruszona egzekucja, policja o ludu dobro staranna, spokój zewnętrzny i wewnętrzny zapewni, obcych kapitalistów przynęci.

Jest tu jednak dilemma ukryte, bo któż zaręczy, że Rządu działania, prywatą zwichnięte, tam trafia, gdzie dla krajowego bogactwa najlepiej by służyły, nie zaś tam, gdzie je partykularny, nie publiczny, skieruje interes? Trzeba by mieć Urzędników licznych, zdatnych, umiętnych, krajowi oddanych, aby tego pilnując, prywatcie zwięść się nie dali. Skądże ich wziąć? Nie dość na tym: skądże urzędnik, by najsumienniejszy, ma wiedzieć, która manufaktura, które przedsięwzięcie, krajowi dóbr przysporzy i na Rządowe wsparcie zasługuje, skoro to dopiero *ex post* powiedzieć można, kiedy już produkta wyrobione, sprzedane, a w księgach *debit* i *habet* łącznie każdy porównać może? Z góry wszakże wiedzieć tego nie sposób! Patrzcież, jak w cesarskich krajach, ileż od naszego bogatszych, wykształceńszych, za niedawnej jeszcze pamięci Cesarz Józef próbował przez swych urzędników rządzić, a jakże się w swych zamysłach zawiódł!

Jak więc dilemma owe rozwiązać? *Hic Rhodus, hic salta!*

Nie próbę krótką, nieudolnego plód pióra, lecz dzieło, i niejedno, napisać by trzeba, by owe węzły Gordyjskie rozwikłać. I nie samym pisanem, lecz pilnym około krajowej pomyślności staraniem rzecz się do pomyślnego sukcesu doprowadzić może; bo *praxis* dopiero pokaże, czego nie dostrzegła, a gdzie zbłądziła uczona *doctrina*. I *vice versa*, kiedy gospodarstwo krajowe chroma, musi nie tylko publicznym groszem zawiadujący polityk, urzędnik, finansista, lecz i kapitalista i fabrykant, do teorii, do dzieł uczonych, się uciec, zobaczyć, czyli nie przepatrzyli czegoś, co gospodarstwa krajowego świadomi badacze już wcześniej wykryli. Tak mężowie uczeni wspólnie z przemysłnymi rządcami krajowego gospodarstwa jak niemniej i dzielnymi przedsiębiorcami, wzajem się oświecając, da Bóg krajowi wrota ku pomyślności otworzą, w które on wkroczywszy, kto wie, czyli nie, *Deo favente*, wreszcie pomyślny w nadgrode swych wysiłków odniesie sukces.

Bibliografia

- Bartmiński J., *Językowe podstawy obrazu świata*, wyd. 5, Lublin 2012.
- Berzevichy G., *De conditione et indole rusticorum in Hungaria, Leutschoviae* [Lewocza] 1806.
- Giza W., *Narodziny polskiej myśli ekonomicznej w ośrodku wileńskim*, „Zeszyty Naukowe Akademii Ekonomicznej w Krakowie” 2001, nr 585.
- Grzegorzczak R., *Język w służbie myśli. Szkice z dziejów polskiego słownictwa*, oprac. M. Łaziński, M. Chojnacka-Kuraś, Warszawa 2021.
- Grzegorzczak R., *Punkty dyskusyjne w rozumieniu pojęcia językowego obrazu świata – widziane z perspektywy badań porównawczych*, „Etnolingwistyka. Problemy Języka i Kultury” 2009, t. 21.
- Jarząbek M., *Pojęcie „czystości języka” i „słowa zbyteczne” – przypadek polski XVIII–XX wieku*, [w:] *Z dziejów pojęć społeczno-politycznych w Polsce. XVIII–XX wiek*, red. M. Janowski, Warszawa 2019.
- Klimczuk A., *Hipoteza Sapira-Whorfa – przegląd argumentów zwolenników i przeciwników*, „Kultura, Społeczeństwo, Edukacja” 2013, nr 1.
- Korespondencja w materiach obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających. Część pierwsza, Warszawa 1807, w drukarni Gazety Warszawskiej.
- Krysiński D., *O ekonomii politycznej*, b.m. i r. wyd. [1812].
- Kuligowski P., *Radykałowie polistopadowi i nowoczesna galaktyka pojęć (1832–1888)*, Kraków 2020.
- Lakoff G., Johnson M., *Metafory w naszym życiu*, przeł. T.P. Krzeszowski, Warszawa 1988.
- Lewis C.S., *Studies in words*, Cambridge 2013 (wyd. 1 1960).
- Linde S.B., *Słownik języka polskiego*, t. 2 cz. 2, [litera] P, Warszawa, u autora, 1811.
- Maćkowiak K., *Leksmy nazywające członków stanu chłopskiego w polskiej publicystyce oświeceniowej*, „Język Polski” 2020, r. 100, z. 2.
- Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, t. 1, oprac. J. Woliński, J. Michalski, E. Rostworowski, Wrocław 1955.
- Miskolczy A., *Hungarus Consciousness’ in the Age of Early Nationalism*, [w:] *Latin at the Crossroads of Identity. The Evolution of Linguistic Nationalism in the Kingdom of Hungary*, ed. G. Almási, L. Šubarić, Leiden–Boston 2015.
- Nax J.F., *Wybór pism*, oprac. W. Sierpiński, Warszawa 1956.
- Niemcewicz J.U., *Synonimy Polskie*, „Pamiętnik Warszawski” 1809, nr 1.
- Norwid C., *Milczenie*, [w:] *tenże, Pisma wszystkie*, t. 6, cz. 1, oprac. J.W. Gomułcki, Warszawa 1971.
- Parnicki T., *Tylko Beatrycze*, oprac. R. Koziołek, I. Gielata, Wrocław 2001.
- Potocki S.K., *Rozprawa pierwsza: o potrzebie ćwiczenia się w ojczystej mowie*, [w:] *idem, Pochwały mowy i rozprawy*, t. 2, Warszawa 1816.
- Sapir E., *Kultura, język, osobowość. Wybrane eseje*, przeł. B. Stanosz, R. Zimand, Warszawa 1978.
- Siatkowska E., *Rodzina języków zachodniosłowiańskich. Zarys historyczny*, Warszawa 1992.
- Sommer L., *Od kiedy polski jest „językiem”? Kilka uwag o języku jako pojęciu historycznym*, [w:] *Z dziejów pojęć społeczno-politycznych w Polsce. XVIII–XX wiek*, red. M. Janowski, Warszawa 2019.
- Stroynowski H., *Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomii politycznej i prawa narodów*, wyd. 4, Warszawa 1805.

- Surowiecki W., *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. J. Grzywicka, A. Łukaszewicz, Warszawa 1957.
- Śniadecki J., *O języku polskim* [1814], [w:] *idem, Wybór pism estetyczno-literackich*, oprac. P. Bukowiec, Kraków 2003.
- Vossler K., Spitzer L., *Studia stylistyczne*, opr. M.R. Mayenowa, R. Handke, Warszawa 1972.
- Whorf B.L., *Język, myśl i rzeczywistość*, przeł. T. Hołówka, Warszawa 1982.
- Wichrowska E., *Twoja śmierć. Początki dziennika intymnego w Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku*, Warszawa 2012.
- Wierzbicka A., *Język i naród: polski los i rosyjska sud'ba*, „Teksty Drugie” 1991, nr 3.
- Wierzbicka A., *Słowa klucze. Różne języki – różne kultury*, przeł. I. Duraj-Nowosielska, wyd. 2, Warszawa 2020.
- Wirtemberska z Czartoryskich Maria ks., *Malwina, czyli domysłność serca*, oprac. K. Wojciechowski (Biblioteka Narodowa, Seria I, nr 23), Kraków 1920 (korzystam z wersji internetowej tego wydania na stronie Wikiźródła, bez podanych numerów stron wydania papierowego).
- Znosko J., *Nauka ekonomii politycznej podług układu Adama Smitha*, Wilno 1811, w drukarni XX Bazylionów.